NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor.—4 Mrk. 25 fen.—1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. —8 Mrk. 50 fen. 3 Rbs. 60 kop. z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor. 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop. z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop. W Ameryce: półrocznie 2 dolary 25 cts.— Rocznie 4 dol. 50 cts.

Wychodzi każdej soboty.

Redakcya i administracya KRAKÓW, Zacisze 7. Tel. 479.

Redaktor naczelny: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.

Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi.

Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok VII. Kraków, 15 października 1910. Nr. 42.

Jaskinia zbrodni na Jasnej Górze.

(Treść na str. 2).



Nr. 42 „Nowości illustrowanych“ zawiera: ☛ Portrety wszystkich sprawców zbrodni na Jasnej Górze. — Przewrót w Portugalii. — Zgon wielkiej poetki. — Ś. p. Konopnicka na marach. ☚

Jaskinia zbrodni na Jasnej Górze.

Straszny cios uderzył w społeczeństwo polskie. Oto Jasna Góra w Częstochowie, święte miejsce całego polskiego ludu, otaczane od wieków największą czcią, Mekka naszego narodu, stała się miejscem niesłychanej zbrodni, dąwała przytułek zwyrodniałemu



Jaskinia zbrodni na Jasnej Górze: Morderca i świętokradca ks. Damazy Macoch w habicie zakonnym.

mordercy i świętokradcy, który choć odziany w szaty zakonne nie wahał się dla dogodzenia swym niecnym chuciom i podłej chciwości pokalać, największe nasze narodowe świętości, a który w gronie towarzyszów celi zakonnej oraz wśród służby klasztornej znalazł wspólników najokropniejszych występków.

Na myśl o tym całym splocie wyrafinowanych zbrodni, jakich widownią była od dłuższego czasu Jasna Góra, serce się wzdryga z oburzenia i bolu. Pamiętamy żywo głębokie wrażenie, jakie przed rokiem właśnie wywołała wieść, iż cudowny obraz Najświętszej Panienki został w świętokradzki sposób okradziony i ograbiony z kosztownych wotów.



Jaskinia zbrodni na Jasnej Górze: Ś. p. Wacław Macoch, zamordowany w lipcu w klasztorze jasnogórskim.

I czy przypuszczał kto wówczas, że sprawcy strasznej zbrodni kryją się w murach klasztoru, że są między tymi, którym powierzono pieczę nad świętem miejscem? Czy przypuszczał kto, iż wśród mnichów jasnogórskich znalazły się szumowiny społeczne, wyrodki, odarte z czci i wiary, zdolne do targnięcia się świętokradzką dłonią na to, co nawet niedowiarki w narodzie polskim zwykli czcią otaczać, jako świętość narodową? I czy przypuszczał kto wówczas, że jeden ze świętokradców w sukni zakonnej zdolny jest popełnić bratobójstwo, popełnić je w obrębie murów klasztornych, z zupełnym spokojem, z planem od dawna w dzikim umyśle przygotowanym?

A jednak dziś z żalem stwierdzić się musi, że to wszystko jest faktem, jest smutną prawdą. Dziś nie ulega wątpliwości, że ks. Damazy Macoch z zakonu OO. Paulinów na Jasnej Górze, okradał klasztor systematycznie wraz z kilku innymi zakonnikami, że tuczył się groszem wdowim, składanym tam przez biedny, najbiedniejszy lud polski, że przy pomocy wspólników ograbił obraz Matki Boskiej, a z uzyskanych tą drogą pieniędzy utrzymywał kochankę, z którą żył w kazirodczym stosunku, jako z żoną swego krewnego, że wreszcie zamordował brata. Ujawniło to wszystko śledztwo policyjno-sądowe, ujawniło przyznanie się zbrodniarzy.

Jak wiadomo, znaleziono w lipcu br. w rowie pod Kłomnicami w gub. Piotrkowskiej zwłoki zamordowanego mężczyzny, ukryte w starej sofie. Przez długi czas nie mogła żandarmerya rosyjska ani stwierdzić identyczności zamordowanego ani wyśledzić sprawców czynu. Ślady jednak prowadziły ku Częstochowie. I wreszcie udało się naczelnikowi wydziału śledczego w Piotrkowie, p. Walmquistowi, znaleść nitkę, która doprowadziła śledztwo do celu. Oto wyszukał on dorożkarza częstochowskiego, który zeznał, iż w krytycznym czasie przewiózł ową sofę z polecenia jednego z zakonników jasnogórskich do Kłomnic, że jednak związany przysięgą dotąd o tem nic nie mógł powiedzieć. Od tej chwili zagadka tajemniczej zbrodni, zagadka „trupa w sofie“, była rozwiązana. Dalsze śledztwo, prowadzone przez p. Walmquista i komisarza częstochowskiego Denissowa, wykryło owego zakonnika, który tajemnicą przysięgi okrył wywiezienie sofy z klasztoru, w osobie ks. Damazego Macocha a pomocnika jego w osobie służącego klasztoru, Stanisława Załoga, w zwłokach zaś zabitego rozpoznano stryjecznego brata mordercy, Wacława Macocha. Stwierdzono też, że z żoną zamordowanego, Heleną z Krzyżanowskich, utrzymywał ks. Damazy od dawna stosunek miłosny. Ponieważ zaś ks. Damazego Macocha w owym czasie już w klasztorze nie było, gdyż zamierzał w najbliższym czasie ulotnić się z kraju, a na razie opuścił klasztor i przebywał bądź w Warszawie, bądź w innych miejscowościach, przeto zarządzono pościg za nim, który uwieńczony został aresztowaniem bratobójcy i świętokradcy w Krakowie. Na ślad zbrodniarza naprowadziły ostatecznie zeznania aresztowanej dzień przedtem kochanki jego, Heleny Macochowej, która stwierdziła, że ks. Macoch w przebraniu świeckiego księdza zamierza przedostać się przez granicę do Galicyi. Pościg za nim opóźnił się nieco i dopiero policya krakowska, mianowicie komisarz dr. Jasieński, kierownik ekspozytury na dworcu kolejowym, zawiadomiony o wyjeździe ks. Macocha w kierunku Krakowa, rozpoznał go w tłumie podróżnych i natychmiast aresztował.

Wiadomość o wykryciu właściwych sprawców obu potwornych zbrodni, wiadomość, iż jednym z nich jest mnich zakonu jasnogórskiego i że go



Jaskinia zbrodni na Jasnej Górze: Helena z Krzyżanowskich Macochowa, kochanka ks. Damazego Macocha.

w Krakowie aresztowano, rozeszła się lotem błyskawicy po całem mieście i kraju, budząc wszędzie uczucie grozy i strasznego oburzenia.



Jaskinia zbrodni na Jasnej Górze: Ks. Damazy Macoch w otoczeniu trzech sióstr Krzyżanowskich.



Jaskinia zbrodni na Jasnej Górze: Stanisław Załóg, służący klasztorny na Jasnej Górze i wspólnik zbrodni ks. Macocha.



Jaskinia zbrodni na Jasnej Górze: Komisarz policyi częstochowskiej Denissow.

Przesłuchany natychmiast po aresztowaniu przez komisarza dr. Jasieńskiego, przyznał się ks. Macoch do zbrodni, w szczegółach tylko omijając prawdę wypierając się udziału w ograbieniu cudownego obrazu. Dopiero przyciśnięty ogniem krzyżowych pytań dr. Jasieńskiego, zeznał całą prawdę odnośnie do zbrodni morderstwa i przyznał się, że Wacława Macocha, swego stryjecznego brata i męża swej kochanki, zamordował w swej celi siekierą, w chwili gdy ten pogrążony był w śnie głębokim, a następnie przy pomocy służącego Załoga zapakował zwłoki do sofy i przewiózł do Kłomnic. Przyznał się dalej, że wraz z dwoma innymi zakonnikami, a to ks. Bazylim Olesińskim i ks. Izydorem Starczewskim okradał od dłuższego czasu klasztor jasnogórski, przywłaszczając sobie znaczną część ofiar, składanych w Częstochowie przez pątników. Co do stosunku miłosnego z Heleną Macochową zeznał, iż utrzymywał ten stosunek od lat paru, łożąc na żywot kochanki poważne kwoty z kradzionych pieniędzy.

Protokół kilkogodzinnych zeznań aresztowanego mordercy, spisany przez kancelistę policyi p. Kantora, daje ponury obraz fatalnych stosunków, panujących od pewnego czasu w obrębie klasztoru jasnogórskiego. Upadek moralności, rozluźnienie obyczajów, niekarność i żądza użycia zagnieździły się wśród zakonników jasnogórskich.

Część winy za to rozprzężenie spada na byłego przeora klasztoru, ks. Euzebiusza Rejmana, który nie dość bacznie sprawował kierownictwo spraw klasztornych i nie bardzo przebierał wśród kandydatów, zgłaszających się na zakonników. Stąd też pochodzi, że zakradły się tam jednostki w rodzaju ks. Macocha, ks. Olesińskiego, ks. Starczewskiego. Nowy przeor, O. Justyn Wełoński, choć widział złe, nie mógł mu zaradzić, gdyż wybrany niedawno na stanowisko kierownika klasztoru, nie otrzymał zatwierdzenia władz świeckich, wskutek czego rządy zostały w ręku ks. Rejmana.

Wykrycie siedliska nadużyć i zbrodni w obrębie murów klasztornych spowoduje niewątpliwie gruntowną reorganizacyę całego zakonu, spowoduje zupełną zmianę stosunków. Cios, który w nas ugodził, jest bolesny, jest straszny. Ale myśmy już do najstraszniejszych tragedyi i klęsk narodowych przywykli, więc i tę przeżyjemy, a społeczeństwo polskie, choć zbeszczeszczeniem Jasnej Góry boleśnie zranione w swych najświętszych uczuciach, zrozumie niewątpliwie, iż co innego księża i zakonnicy, a co innego religia i Kościół, nie zmieni się też w swych uczuciach wobec świętego miejsca. Tradycye wielkich wypadków dziejowych, które pod murami i w murach Częstochowy się rozegrały, tradycye bohaterskich czynów, jakich one były świadkami, okażą się z pewnością silniejsze, niż pamięć o zbrodniach ostatnich paru lat, tak samo tradycya postaci świątobliwego zakonnika O. Kordeckiego, otoczona aureolą bohaterstwa, będzie silniejsza od pamięci wyrodnego Macocha i jego przeklętych zbrodni.

Zgon wielkiej poetki.

Wielki duch odszedł z pośród nas, przestało bić serce, co umiłowało gorąco naród cały a najbardziej maluczkich w nim i najbiedniejszych, tych wydziedziczonych, tych „bez dachu“. Zmarła wielka polska poetka, Marya Konopnicka, której utwory należą do pereł naszej literatuy poetyckiej, której śpiew wlewał w społeczeństwo wiarę i otuchę, zagrzewał do pracy i czynu, był tarczą i puklerzem, chroniącym przed zwątpieniem.



Zgon wielkiej poetki: Widok ogólny zakładu Kiselki. Fot. Münz, Lwów.

Miłował więc Konopnicką naród cały, miłował gorąco i serdecznie i zapłakał cały rzewnemi łzami, gdy się wieść o jej zgonie rozeszła.

Talent poetycki Maryi Konopnickiej rozbudził się w czasach zamętu po powstaniu styczniowem. Wówczas to zaczęła natchniona poetka nucić swe cudowne, pełne prostoty i jasnych promieni piosenki, wołając w nich o sprawiedliwość, o chleb, o wolność i miłość dla wyklętych i odepchniętych.

I rozchodziły się prześliczne jej poezye po całej Polsce, budząc szacunek podniosłą, szlachetną treścią a zachwyt wspaniałą formą. Rosła sława pieśniarki, rosła jej popularność. A kiedy upłynęło ćwierć wieku jej poetyckiej i literackiej działalności, społeczeństwo całe złożyło jej zasłużoną podziękę i hołd w obchodzie jubileuszowym we Lwowie, urządzonym 1902 roku.

A potem jeszcze raz stało się jej nazwisko bar-



Zgon wielkiej poetki: Przeniesienie zwłok ś. p. Konopnickiej z zakładu Kiselki do krypty OO. Bernardynów.

dzo głośne. Ukazało się bowiem ostatnie i największe jej dzieło, dzieło całego życia, potężny śpiew poetycki, utwór epiczny p. t. „Pan Balcer w Brazylii“. W dziele tem talent Konopnickiej dosięgnął szczytu rozwoju i dał rzecz prawdziwie wielką, niepospolitą, stawiającą autorkę w rzędzie największych poetów ostatniej doby.



Zgon wielkiej poetki: Ś. p. Marya Konopnicka na marach pośmiertnych. (Fot. Trzemeski, Lwów).

Marya z Wasiłowskich Konopnicka urodziła się 1846 r. w Sieniątkach, a jako dziecko prawie pozostawiona sama sobie, już od młodości przyzwyczaiła się do walki z życiem. Około 1870 r. przybyła do Warszawy i spędziła tam lat przeszło 20. Tam też rozpoczęła zawód literacki, ogłaszając mnóstwo drobnych utworów wierszem i prozą w pismach peryodycznych i codziennych. Pierwszy tom zbiorowy jej poezyi ukazał się 1881 r., poczem poszły koleją dalsze serye, szereg tłómaczeń i rozprawek literacko-krytycznych.

W r. 1890 opuściła Warszawę i przez lat parę podróżowała. I w tym czasie jednak pracowała dużo a utwory jej pojawiały się w wielu pismach polskich. Powróciwszy z podróży, osiadła w Galicyi i przebywała bądź we Lwowie, bądź w ofiarowanym jej przez naród Żarnowcu.

Ostatnie lata poświęciła wykończeniu wspaniałego eposu „Pan Balcer w Brazylii“; w zeszłym roku ukazało się to dzieło w bardzo starannem wydaniu książkowem. Wnet potem jednak zdrowie poetki zaczęło coraz bardziej szwankować. Nie pomógł pobyt na wsi spokojnej, nie pomógł wyjazd na południe. Choroba czyniła ciągłe postępy. Niedawno przewieziono Konopnicką do Lwowa, do sanatoryum Kiselki, lecz mimo wysiłków lekarzy organizm wyczerpany uległ chorobie i wielka poetka wyzionęła ducha w ubiegłą sobotę nad ranem.

Wiadomość żałobna o zgonie Maryi Konopnickiej odezwała się smutnem echem w całym narodzie, we wszystkich jego sferach i warstwach, wywołała też szereg żałobnych manifestacyi.



Jaskinia zbrodni na Jasnej Górze: Ks. Damazy Macoch (ostatnie zdjęcie).

Obradujący we Lwowie Sejm krajowy, rady obu stołecznych miast Lwowa i Krakowa oraz niemal wszystkie stowarzyszenia i instytucye powzięły uchwały, wyrażające głęboki żal z powodu zgonu wielkiej pieśniarki. Pogrzeb zaś autorki „Pana Balcera“ był dowodem, jaką miłością, jaką czcią cieszyła się zmarła.

Cześć Jej pamięci!



Zgon wielkiej poetki: Pokój w sanatoryum Kiselki, gdzie wielka poetka zmarła. (Fot. Trzemeski, Lwów).

Maurice Leblanc.

TAJEMNICZE DOKUMENTY.

21 (Ciąg dalszy).

Ta część zagadki zatem rozwiązana; każda z dwunastu sal oznaczona jest imieniem jakiegoś bóstwa Olympu, a wyraz Apoon, dopełniony przez Izildę, oznacza salę Apollina.

Zatem w tej to sali, w której obecnie jesteśmy, ukryte są listy. Teraz do ich odnalezienia może już zaledwie kilka minut potrzeba.

— Albo i kilka lat... a może i wieków! — roześmiał się monarcha. — Panie Lupin, to są znane rzeczy! Dwa tygodnie temu wraz z przyjacielem pańskim Sherlockiem Holmesem badaliśmy także małą Izildę; tej samej metody używaliśmy, co pan i także tak, jak pan, odgadywaliśmy znaczenie liter w galeryi. I także doszliśmy tu, do tej sali Apollina.

Lupin pozieleniał.

— Ach... — bąknął — Holmes dotarł... aż tak daleko?

— Tak, po czterodniowych poszukiwaniach. Prawda, że się to na nic nie zdało i że nie znaleźliśmy niczego. W każdym razie to wiem, że tych listów tutaj niema.

Lupin drżał cały z wściekłości i upokorzenia. Byłby rad zdusił grubego Waldemara za ten jego ciągły, drażniący śmiech. Pohamował się jednakże.

— Czterech dni potrzebował Holmes, Najjaśniejszy Panie. Mnie wystarczyło kilka godzin. A byłbym użył na to jeszcze mniej czasu, gdyby mi w moich poszukiwaniach nie przeszkadzano.

— Któż panu przeszkadzał, mój Boże? Czyżby mój wierny hrabia? Myślę, że chyba nie on...

— Nie, Najjaśniejszy Panie, ale najgroźniejszy i najpotężniejszy mój wróg, ten twór piekielny, który zamordował wspólnika swego Altenheima.

— On tu jest? Tak pan sądzi? — zawołał monarcha poruszony; widocznie żaden szczegół tej dramatycznej historyi nie był mu obcym.

— On jest wszędzie tam, gdzie i ja. Prześladuje mnie swą nienawiścią. To on odgadł mnie po za maską pana Lenormanda, szefa bezpieczeństwa publicznego, to on mnie wcrącił do więzienia, on i teraz mnie ściga, odkąd z więzienia wyszedłem. — Wczoraj, mniemając, że dosięgnie mnie w automobilu, ranił hrabiego Waldemara.

— Ale skąd pan przypuszcza, że on znajduje się w Veldenz?

— Izilda otrzymała dwie monety złote, dwie monety francuskie!

— Ale czegóżby on tu szukał? W jakim celu by tu był?

— Nie wiem, Najjaśniejszy Panie, ale to duch złego! Niech się Wasza Cesarska Mość strzeże! On jest do wszystkiego zdolny!

— To niepodobna! W tych ruinach mam dwustu moich ludzi. Nie mógł tu wejść. Widzianoby go.

— Fakt, że był ktoś, kto się z nim widział.

— Któż taki?

— Izilda!

— Przepytajcie ją! Waldemarze, zaprowadź więźnia twego do tej dziewczyny!

— — — — — — — — — — — —

Poszli do mieszkania, zajętego przez Izildę, a położonego na skraju dawnych dworskich zabudowań, które dziś dwustu stróżom ruin służyły za koszary. Izildy jednak nie zastali tam.

Hrabia kazał jej szukać. Nikt jednakże dziewczęcia nie widział. Nie mogła jednak niepostrzeżona wyjść poza obręb ruin...

Nareszcie żona porucznika, mieszkającego w sąsiedztwie oświadczyła, że wcale nie odchodziła od okna, i że wie, iż dziewczyna z pewnością nie wyszła.

— Gdyby nie wychodziła — zawołał Waldemar — to musiałaby być w domu, a niema jej przecie!

— Zdaje mi się, że jest piąterko nad jej mieszkaniem — zauważył Lupin — widzę tam schodki.

— I ukazał drzwi, łączące się z ciemną komórką. W cieniu widać było pierwsze szczeble schodków, stromych, jak drabina.

Uprzedzając hrabiego Waldemara, Lupin wysunął się naprzód i wybiegł pierwszy na schodki. Nagle wydał okrzyk.

— Co tam? — zapytał hrabia, podążając za nim.

— Tu... na podłodze... Izilda!

Przyklęknął, ale przyjrzawszy się dziewczynie poznał odrazu, że zemdlona jest tylko i że niema śladu ran, ręce tylko podrapane. W ustach jej, w miejsce knebla, tkwiła chusteczka.

— Otóż to! — rzekł — morderca był tu, u niej... Słysząc, że nadchodzimy, ogłuszył ją uderzeniem pięści i zakneblował jej usta, abyśmy jęków jej nie dosłyszeli.

— Ależ w takim razie, którędyż mógł uciec?

— O... tędy najprawdopodobniej... Tym korytarzykiem łączą się wszystkie poddasza...

— Ależ, gdyby wychodził, zobaczonoby go!

— Co tam! co można wiedzieć! To jakiś twór nieuchwytny i niewidzialny... Radziłbym, by pan kazał przeszukać wszystkie strychy i wszystkie mieszkania dolne!

Zawahał się. A może dobrzeby było pójść także na poszukiwanie?

Lecz dźwięk jakiś zwrócił znów uwagę jego ku dziewczęciu. Izilda podniosła się, a dwanaście sztuk złotych monet posypało się z jej rąk. Lupin obejrzał pieniądze. Wszystkie miały na sobie stempel francuski.

— No — rzekł — przecież się nie omyliłem. Tylko... skąd aż tyle złota? czy to nagroda i za co?

Nagle spostrzegł na ziemi jakąś książkę i schylił się, by ją podnieść. Ale szybszym jeszcze ruchem rzuciła się młoda dziewczyna, pochwyciła książkę i z jakąś dziką energią przycisnęła ją do piersi, gotowa bronić jej przeciw silniejszemu.

— A więc to tak — rzekł Lupin — ofiarowano jej złote monety za tę książkę, ale ona odmówiła. Stąd te zdrapania na rękach. To ciekawe, dlaczego morderca pragnął mieć tę książkę?...

— Zechciej hrabio wydać rozkaz — zwrócił się do Waldemara.

Waldemar dał znak swoim ludziom. Trzej z pomiędzy nich pochwycili dziewczynę i po zaciętej walce wydarli jej książkę.

— Spokojnie dziecko — mówił Lupin — spokojnie... To wszystko dla dobrej sprawy. Proszę jej pilnować! A ja tymczasem obejrzę przedmiot sporny!

Był to w staroświeckiej oprawie z przeszłego wieku niekompletny tom jednego z dzieł Montesquieu. Lupin jednakże wykrzyknął, otworzywszy go zaledwie:

— No proszę, no proszę, to dziwne! Na tylnej stronie każdej kartki nalepiono kartkę pergaminu, a na każdej z tych kartek widać pismo ręczne, bardzo ściste i drobne.

I zaczął czytać z samego początku:

„Dziennik kawalera Idziego de Malrèche, kamerdynera francuskiego Jego Królewskiej Wysokości księcia Dwóch-Mostów Veldenz, zaczęty w roku Pańskim 1794".

— Dziadek Izildy — wtrącił Waldemar — ten stary, który umarł dwa lata temu, nazywał się Malreich, to znaczy, że to samo imię zgermanizowane.

— Doskonale! Dziadek Izildy musiał być synem albo wnukiem tego samego francuskiego kamerdynera, który w tej księdze swój dziennik spisywał. I tym to sposobem ten dziennik dostał się do rąk Izildy.

Zaczął przeglądać książkę na chybił trafił.

„15 września 1796 — Jego Wysokość dziś polował".

„20 września 1796 — Jego Wysokość wyjechał konno na spacer. Dosiadał Kupidyna".

— Dyabła tam — mruknął Lupin — jak dotąd wcale nie porywające!

Przeglądał dalej, przerzuciwszy kilkadziesiąt kartek.

„12 marca 1803. — Posłałem Hermanowi dziesięć dukatów. Jest teraz kucharzem w Londynie".

Lupin roześmiał się.

— Herman zdetronizowany. Ho! ho! Zmniejsza się respekt!

— Panujący wielki książe — zauważył Waldemar — był wtedy istotnie wygnany z kraju przez wojska francuskie.

Lupin dalej czytał:

„1809. Dziś, we wtorek, cesarz Napoleon nocował w Veldenz. To ja słałem łóżko Jego Cesarskiej Mości i ja nazajutrz wylewałem wodę z miednicy".

— To więc Napoleon zatrzymywał się w Veldenz? — zdziwił się Lupin.

— Tak, podążając do swojej armii podczas kampanii austryackiej. Jest to zaszczyt, którym potem rodzina książęca z dumą się szczyciła.

Lupin ciągnął dalej:

„28 października 1814. Jego Królewska Wysokość powrócił do swego kraju".

„29 października. Dziś w nocy zaprowadziłem Jego Wysokość do skrytki i rad byłem pokazać mu, że nikt się nie domyślił jej istnienia. Ale komuby też przyszło na myśl, że można skrytkę urządzić w..."

Z nagłym okrzykiem Lupin przerwał. Izilda wymknęła się strzegącym ją ludziom, rzuciła się na niego i uciekła, porwawszy książkę.

— Ach, szelma! Gońcie ją!... Obejdźcie od dolnego piętra, ja pogonię za nią korytarzem.

Jednakże dziewczyna zatrzasnęła drzwi za sobą i zasunęła rygiel.

— Dostaniemy się tam przez okno! — wołał Lupin.

Wyszli na podwórze i stamtąd Lupin, podsadzony w górę na ramionach dwóch ludzi, wybiwszy szybę uderzeniem pięści, wdarł się do pokoju.

Skurczoną przed kominkiem, na tle płomieni, ujrzał Izildę.

— O niegodziwa! — zawołał Lupin. — rzuciła książkę w ogień!

Odepchnął ją szorstko, chciał książkę z ognia wyciągnąć i poparzył sobie ręce. Za pomocą szczypiec dopiero zdołał książkę wyciągnąć z ognia i nakrył ją dywanikiem ze stołu dla ugaszenia płomieni.

Zapóźno już jednak. Stronice starego manuskryptu, strawione żarem na popiół, rozsypały się w drobny pył.

II.

Lupin przyglądał się Izildzie. Hrabia Waldemar zauważył:

— Możnaby mniemać, że ona wie, co robi.

— Nie, nie, ona nic nie rozumie. Tylko widocznie dziadek powierzył jej tę książkę jako jakiś skarb, którego nikt oglądać nie powinien, a ona wiedziona swoim ciemnym instynktem, wolała rzucić ją w ogień, niżeli utracić...

— Więc tym sposobem pan się do swojej skrytki nie dostaniesz!

— Są różne jeszcze sposoby. To wiem, że się dostanę!

— Zanim jutro wybije dwunasta?

— Zanim dziś w nocy jeszcze wybije dwunasta... Tymczasem jednak ja umieram z głodu. I gdyby hrabia był łaskaw...

Zaprowadzono go do kantyny podoficerów i podano mu obfity obiad; podczas tego zaś hrabia poszedł zdać raport monarsze.

W dwadzieścia minut później hrabia Waldemar powrócił i obaj milczący, zamyśleni, siedli naprzeciwko siebie, Waldemar drzemał, raz po raz dla otrzeźwienia przełykając kielich szampana. Lupin poprosił o kawę.

— O, jakaż okropna kawa! — mruknął — jeżeli taką samą pija sam monarcha!... Ale trudno, poprosiłbym jeszcze o jedną filiżankę... W nocy może przyjdzie długo czuwać, hrabio! O jakaż okropna kawa!...

Zapalił cygaro i nic już nie mówił. Czas upływał... milczał, nie ruszając się z miejsca.

Nagle Waldemar zerwał się na równe nogi.

— Wstań pan! — z oburzeniem zwrócił się do Lupina.

Lupin w tej chwili właśnie z cicha pogwizdywał. Spokojnie pogwizdywał sobie dalej.

— Wstańże pan! Czy nie słyszysz? — powtórzył Waldemar.

Lupin obejrzał się. To sam monarcha wszedł. Powstał.

— Jakże stoi sprawa? — zapytał cesarz.

— Sądzę Najjaśniejszy Panie, że wkrótce będę mógł zadowolnić Waszą Cesarską Mość!...

— Jakto? Więc pan już wie, gdzie listy...

— Skrytka? Tak... Mniej więcej, Najjaśniejszy Panie... Jeszcze kilka szczegółów nie rozumiem dobrze, ale nie wątpię, że na miejscu wszystko się wyjaśni.

— Czy tu mamy pozostać?

— Nie, prosiłbym Waszą Cesarską Mość, by zechciał pójść ze mną do pałacu z czasów Odrodzenia. Ale czas nie nagli i jeżeli Jego Cesarska Mość pozwala, chciałbym się zaraz teraz nad kilkoma punktami zastanowić.

Nie czekając na odpowiedź, usiadł, ku wielkiemu oburzeniu Waldemara.

Po chwili zbliżył się monarcha, który poprzednio był odszedł i nad czemś naradzał się z hrabią.

— Czy pan Lupin gotów jest teraz?

Lupin milczał. Monarcha zapytał raz jeszcze. Lupin tylko głowę spuścił.

— Ależ on śpi, naprawdę możnaby myśleć, że śpi!

Waldemar wściekły, chwycił go szorstko za ramię i potrząsnął nim. Lupin stoczył się z krzesła,

upadł na podłogę, drgnął kilka razy i leżał, jak padł, bez ruchu.

— Co mu jest? — zawołał cesarz. — Przecież nie umarł chyba?

Wziął ze stołu lampę i nachylił się nad leżącym.

— Jaki blady! Twarz, jak z wosku!... Przypatrz się Waldemarze!... Zbadaj serce... nieprawdaż, że żyje?...

— Tak, Najjaśniejszy Panie — odpowiedział hrabia po chwili — serce bije regularnie.

— A więc co? już nie rozumiem... Co się to stało?

— A gdybym przywołał lekarza?

— Idź, a prędko!

Lekarz zastał Lupina w tym samym stanie; spokojny był i bezwładny. Kazał go położyć na łóżku, badał go długo i dopytywał, co chory jadł.

— Więc pan przypuszcza, że go otruto, doktorze?

— Nie, Najjaśniejszy Panie, śladów otrucia nie widzę... Ale co to za filiżanka na tacce?

— To kawa — odpowiedział hrabia.

— Dla pana?

— Nie, przyniesiona dla niego. Ja jej nie piłem.

Doktór nalał sobie kawy, skosztował i oświadczył:

— Więc dobrze zgadłem. Chorego uśpiono za pomocą narkotyku.

— Ale kto? — zawołał cesarz gniewnie. — Słuchaj Waldemarze, to irytujące to wszystko, co się tu dzieje!

— Najjaśniejszy Panie...

— Tak, tak!... mam tego dosyć!... Zaczynam doprawdy wierzyć, że ten człowiek ma słuszność i że tu jest ktoś w tym zamku... Te monety złote... ten narkotyk... Szukaj, przetrząsaj, masz przecież dwustu ludzi do dyspozycyi, a przestrzeń znów nie jest tak wielka! Gdyż ostatecznie bandyta musi się snuć gdzieś dokoła tych budynków... od strony kuchni... czy ja wiem? Idź! Ruszaj się!

Całą noc gruby Waldemar ruszał się sumiennie, ale bezskutecznie; wszelkie przetrząsania i przepytywania były daremne, nie odkryto tajemniczej ręki, która napój usypiający przygotowała.

Tę noc Lupin bezwładny i nieświadomy przebył na łóżku. Rano doktór, który go nie opuszczał, powiedział wysłańcowi cesarza, że chory wciąż jeszcze śpi.

Jednakże o dziewiątej poruszył się po raz pierwszy, jak gdyby usiłując się przebudzić.

Trochę później wyjąkał:

— Która godzina?

— Wpół do dziesiątej.

Uczynił nowy wysiłek i czuło się, że pod tem odrętwieniem cała jego istota pręży się wolą powrotu do życia.

Zegar jakiś wydzwonił dziesiątą. Lupin drgnął.

— Proszę mnie zanieść... proszę mnie zanieść do pałacu... — szepnął.

Ponieważ lekarz nie zabraniał, Waldemar wezwał swoich ludzi i kazał uprzedzić monarchę. Ułożono Lupina na noszach i zaczęto iść ku pałacowi.

— Na pierwsze piętro — szepnął.

Wniesiono go na schody.

— Na koniec korytarza — rzekł — ostatnie drzwi na lewo.

Zaniesiono go do tej ostatniej saii, dwunastej z rzędu i dano mu krzesło, na którem usiadł, wyczerpany.

Nadszedł monarcha. Lupin z miną nieprzytomną, z oczyma bez wyrazu, nawet się nie poruszył.

Po kilku jednak minutach, zdawało się, że się budzi; obejrzał się dokoła po ścianach, po suficie, po ludziach i rzekł:

— To był narkotyk, nieprawdaż?

— Tak — odpowiedział doktór.

— Czy znaleziono... tego człowieka?

— Nie.

Zamyślił się i po parę razy potrząsnął głową w zadumie, ale wkrótce spostrzeżono, że znów zasnął.

Monarcha zbliżył się do Waldemara.

— Każ, niech twój automobil zajedzie.

— Ach! więc?...

— A cóż! Zaczynam wierzyć, że on drwi sobie z nas poprostu i że to wszystko to tylko komedya dla zyskania na czasie.

— Może być... w istocie... — przytwierdził Waldemar.

— Oczywiście! Korzysta z niektórych ciekawych zbiegów okoliczności, ale on nic nie wie i ta cała bajeczka o złotych monetach, o narkotyku, to wszystko czyste brednie! Jeżeli dłużej tolerować będziemy tę grę, gotów wymknąć się nam z rąk... Każ Waldemarze, niech twój automobil zajedzie!

Hrabia wydał rozkaz i powrócił. Lupin się nie przebudził. Cesarz, oglądając salę, zwrócił się do Waldemara.

— To ta jest sala Minerwy, wszak prawda?

— Tak, Najjaśniejszy Panie.

— Ale w takim razie co znaczy to N., umieszczone aż w dwóch miejscach?

Rzeczywiście, jedno N. umieszczono nad kominkiem, drugie nad starym zegarem, wmurowanym



Zapomocą szczypców dopiero zdołał książkę wyciągnąć.

w ścianę, zniszczonym, o odsłoniętym skomplikowanym mechanizmie i nieruchomych wagach.

— Co znaczą te dwa N... — powtórzył Waldemar.

Cesarz nie słuchał odpowiedzi. Lupin poruszył się, otworzył oczy i wymówił kilka niezrozumiałych zgłosek. Wstał, przeszedł przez salę i znowu opadł wyczerpany.

I teraz rozpoczęła się walka, zacięta walka mózgu jego, nerwów, woli z tą straszną martwotą, która go krępowała, walka umierającego ze śmiercią, walka życia z nicością.

I był to widok nad wyraz bolesny.

— Ten człowiek cierpi — szepnął Waldemar.

— A przynajmniej odgrywa cierpienie — oświadczył cesarz — a odgrywa je znakomicie. Co za komedyant!

— Jedną injekcyę doktorze — szepnął Lupin— jedną injekcyę kofeiny... ale zaraz...

— Wasza Cesarska Mość pozwoli? — zapytał lekarz.

— Naturalnie... aż do południa we wszystkiem trzeba się do jego woli stosować. Ma moje słowo,

— Ile minut brakuje... do dwunastej? — zapytał Lupin.

— Czterdzieści — odpowiedziano.

— Czterdzieści? zdążę... na pewno zdążę.. muszę.

Chwycił się oburącz za głowę.

— Ach, gdybym miał mój mózg, mój prawdziwy, mój dobry mózg, mogący myśleć! Byłaby to sprawa załatwiona! Już w tem wszystkiem jeden tylko punkt niejasny! Ale nie mogę... myśl mi ucieka... nie mogę jej pochwycić... to straszne...

Ramionami jego wstrząsał dreszcz kurczowy. Czy może płakał?

Otaczający słyszeli, jak szeptał półgłosem: 813... 813...

A potem ciszej:

— 813... 8... 1... 3... tak, oczywiście... ale dlaczego?... to nie wystarcza...

Monarcha szepnął:

— Robi na mnie wrażenie ten człowiek. Aż trudno uwierzyć, żeby aż do tego stopnia mógł grać komedyę.

Wpół... trzy kwadranse...

Monarcha czekał, oczyma śledząc zegarek.

Jeszcze dziesięć minut... jeszcze pięć...

Monarcha nie ukrywał swego niepokoju. Ten dziwny awanturnik, którego znał dzieje, przyprawiał go o wzruszenie... a chociaż postanawiał skończyć z tą całą dwuznaczną historyą, nie mógł nie oczekiwać... nie spodziewać się jeszcze...

Jeszcze dwie minuty... jeszcze minuta... nareszcie już tylko sekundy...

Lupin zdawał się drzemać.

— No, gotuj się do drogi — rzekł cesarz do hrabiego.

Hrabia zbliżył się do Lupina i ręką dotknął jego ramienia.

Srebrny dzwonek reportyera zawdzięczał... raz... dwa... trzy... cztery... pięć...

— Hrabio Waldemarze, pociągnij pan za wagi starego zegara.

Chwila zdumienia. To Lupin, spokojny zupełnie, przemówił.

Hrabia Waldemar wzruszył ramionami.

— Uczyń, co on każe — przemówił monarcha.

— Ależ tak, uczyń pan to — nalegał Lupin — najpierw za jeden łańcuch, a potem za drugi... Tak, doskonale... Tak to za dawnych czasów zegar naciągano...

W istocie, wahadło puściło się w ruch i słychać było miarowe tykanie.

— A teraz wskazówki — zarządził Lupin. Nastaw je pan trochę przed dwunastą. A teraz proszę nie ruszać nic więcej... proszę mnie puścić...

Wstał i zbliżył się do cyferblatu, podszedł tuż zbliska, o krok, i zapatrzył się weń z wytężoną uwagą.

Wybiło dwanaście uderzeń, dźwięcznych, głębokich...

Długie milczenie. Nic się nie stało. A jednak cesarz czekał, jak gdyby był pewien, że coś się stanie. I Waldemar stał także bez ruchu, z wytrzeszczonemi oczami.

Lupin nachylony nad zegarem, wyprostował się z westchnieniem.

— Doskonale... — szepnął — już teraz mam...

Wrócił na swoje miejsce i rzekł:

— Hrabio Waldemarze, nastaw pan znowu wskazówki na dwunastą bez dwóch minut... Ach nie, nie wstecz!... naprzód, jak należy... Prawda, to trochę dłużej, ale cóż? trudno...

Wszystkie godziny i wszystkie półgodziny zadzwoniły... wybiło wpół do dwunastej.

— A teraz posłuchaj hrabio...

Lupin mówił poważnie, bez drwin, jak gdyby sam wzruszony był i niespokojny.

— Słuchaj, hrabio Waldemarze... widzisz na cyferblacie mały guziczek okrągły, kropkę za godziną pierwszą? Ten guziczek drży, nieprawdaż? Połóż pan na nim palec wskazujący lewej ręki i naciśnij. Dobrze. Zrób pan to samo pierwszym palcem na kropce za godziną trzecią. Dobrze... A teraz prawą ręką naciśnij kropkę za godziną ósmą... Tak... Dziękuję. A teraz proszę, usiądź, usiądź hrabio!

(Dalszy ciąg nastąpi).

Przewrót w Portugalii.

Kraj portugalski stał się w ubiegłym tygodniu widownią niesłychanie doniosłego przewrotu, którego



Przewrót w Portugalii: Zdetronizowany król Manuel II.

znaczenie dopiero historya w całej pełni kiedyś będzie mogła ocenić. W ciągu kilku godzin kraj ten, będący monarchią konstytucyjną, przemienił się w republikę, panujący zaś król Manuel II. musiał szukać schronienia pod opieką obcego mocarstwa.

Jakkolwiek sam przewrót dokonał się w krótkim bardzo stosunkowo czasie, to jednak na wywołanie go złożyły się dzieje całych lat. Tron portugalski uważany był już od dawna, jeszcze przed tragiczną śmiercią poprzedniego króla Karola, zamordowanego przed półtrzecia rokiem przez rewolucyonistów, za posterunek stracony. Opinię tę i przekonanie w całym świecie głoszono oddawna a ludność portugalska coraz goręcej pragnęła zmiany stosunków i zaprowadzenia republiki zamiast rządów monarchicznych.

Przyczyn ku temu miała nieszczęsna kraina aż nadto wiele. Nieporządne, marnotrawne i rozpustne życie dynastyi Braganzów, panującej w Portugalii, zniechęciło ku nim wszystkich poddanych. Kraj, niegdyś ogromnie bogaty i handlowy, pogrążony został wskutek złych rządów w skrajną nędzę i ciemnotę, podatki niszczyły zupełnie dobytek ludności, zamiast na cele państwowe, na cele oświaty, szły na zabawy i rozpustę rodziny królewskiej. Między urzędników, nawet najwyższych dygnitarzy, zakradła się niesłychana korupcya i nepotyzm, to też kraj pogrążał się w coraz gorszy upadek, w coraz straszniejszą nędzę. Nic dziwnego też, że niezadowolenie rosło i rosło w szerokich warstwach ciemiężonego ludu, że idea republikańska, w której widziano ratunek przed ostateczną zagładą, znajdowała coraz liczniejszych zwolenników. Głośno zaś zaczęto mówić o konieczności zmiany rządów w Portugalii po szczęśliwie dokonanym przewrocie w pokrewnej Brazylii, skąd wypędzono rodzinę panującą Braganzów i gdzie zaprowadzono rządy republikańskie.

Rychlejsze rozwiązanie sprawy utrudniały powikłane stosunki polityczne w całym kraju. Stronnictwa zarówno rojalistyczne jak republikańskie, zarówno konserwatywne jak demokratyczne, podzielone na drobne partye, spierały się między sobą, toczyły zacięte walki, na które zużywały wszystkie siły.

Zdawało się, że zamach, dokonany na życie króla Carlosa i zmiana tronu w następstwie tego zamachu, naprawi stosunki, panujące w Portugalii, oczyści atmosferę zgnilizny, panoszącej się w pałacu królewskim. Młodziutkiego króla Manuela II, który objął niespodziewanie rządy, powitano zrazu życzliwie, spodziewano się bowiem po nim, że rozpędzi kamarylę dworską a starać się będzie o poprawienie smutnej doli ludu portugalskiego. Nadzieje te atoli zawiodły. Król Manuel II. okazał się młodzieńcem zniewieściałym, niedołężnym i niedorosłym zupełnie do odegrania wielkiej roli, przeznaczonej mu przez obrót wypadków. Był maryonetką i lalką w ręku kliki rządzącej w państwie, maryonetką bez własnego zdania, bez własnej woli.

To też za jego krótkich rządów stosunki w kraju pogorszyły się jeszcze bardziej, a równocześnie wzrastało oburzenie wśród ludu portugalskiego i pragnienie zmiany formy rządu. Przyczyniał się do tego rozrzutny i marnotrawny tryb życia całego dworu, a zwłaszcza królowej-matki Amalii i królowej-babki Maryi Pii.

Aż wreszcie przechyliła się szala. Prądy repu-



Przewrót w Portugalii: Królowa matka Amalia.



Przewrót w Portugalii: Pretendent do tronu portugalskiego ks. Miguel Braganza z żoną Teresą.



Przewrót w Portugalii: Prezydent republiki brazylijskiej de Fonseca.

blikańskie uzyskały większość, wobec czego zdecydowano się na rewolucyę i czekano tylko na odpowiednią sposobność do jej ogłoszenia. Sposobność ta nadarzyła się właśnie w ubiegłym tygodniu. Oto pewien oficer, podobno obłąkany, zastrzelił posła republikańskiego dra Bombardę, głośnego psychiatrę



Przewrót w Portugalii: Królowa-babka Marya Pia.

i uczonego. Wypadek ten wywołał ogólne oburzecie, zwłaszcza iż zamach na dr. Bombardę uznano za robotę reakcyonistów. Mając za sobą cały prawie lud a znaczną większość w armii lądowej i marynarce, postanowili przywódcy republikańskich stronnictw skorzystać z usposobienia ludności, zdetronizować króla Manuela i ogłosić republikę. I to się im udało w zupełności, ku zdumieniu całego świata, udało prawie zupełnie bez rozlewu krwi.

Ponadto przyczyniła się pośrednio do wybuchu rewolucyi uroczystość na cześć prezydenta rzeczypospolitej brazylijskiej Fonseki, którego przyjazd do Lizbony i obecność tam wywołały wśród mieszkańców Lizbony wielki entuzyazm i spowodowały nastrój bardzo korzystny dla rewolucyi i obwołania republiki. Wskazuje na to i okoliczność, że rewolucya wybuchła bezpośrednio po odjeździe Fonseki z portu lizbońskiego i że stronnictwo republikańskie wzywało gorąco ludność do zebrania się w pobliżu portu celem pożegnania Fonseki. Tam prawdopodobnie dano sygnał do wybuchu rewolucyi.

Wojska, oddane republikanom, ruszyły na dany znak pod pałac królewski i ustawiły się tam w szeregach. Gdy gwardya królewska widząc, na co się zanosi, rozpoczęła ogień, republikanie wywiesili chorągiew czerwono-zieloną, co było znakiem dla marynarki, aby rozpoczęła bombardowanie pałacu. Wnet potem zdołały wojska republikańskie wtargnąć do wnętrza pałacu. Tam oświadczyli dowódcy królowi, że go detronizują, zapewniając równocześnie, iż o życie swe może być spokojny. Istotnie pozwolili republikanie zdetronizowanemu królowi wraz z matką i babką oraz infantem Alfonsem udać się na jacht królewski i na jego pokładzie schronić się do Gibraltaru pod opiekę Anglii.

Bezpośrednio potem ogłosili republikanie proklamacyę o zmianie rządu, powitaną w całym kraju z wielką radością. Garstka zwolenników monarchii próbowała wprawdzie stawiać opór, wojska republikańskie jednak załatwiły się z nimi szybko, tak że w ciągu kilku dni cały kraj przyjął zmianę i uznał nowy, prowizoryczny rząd.

Także mocarstwa zagraniczne uznały zmianę rządu, a nawet Anglia, najbardziej w tej sprawie zainteresowana, nie wystąpiła ani nie wystąpi przeciw dokonanemu w Portugalii przewrotowi.

Na razie, jak wspomnieliśmy, powodzenie rewolucyi jest zupełne i zarówno armia jak ludność przyjęły nową formę rządu bardzo życzliwie i z radością. Czy jednak republika się utrzyma, czy wypędzony król Manuel nie zechce dochodzić swych praw przy pomocy oddanych sobie zwolenników, coby spowodowało wybuch wojny domowej, dziś trudno przewidzieć. Nie jest też wykluczone, że w razie gdyby zwolennicy rządów monarchicznych poczuli się na siłach i chcieli przywrócić rządy królewskie, gotów wystąpić z pretensyami do tronu portugalskiego ks. Miguel Braganza, potomek dawnych panujących portugalskich, którego prawa do tronu portugalskiego są niemniej silne jak króla Manuela,



„Aquila alba“: Cesarz Franciszek Józef przy aeroplanie braci Schindlerów z Krakowa na placu wzlotów w Wiener Neustadt.



Przewrót w Portugalii: Syn pretendenta, ks. Miguel Braganza młodszy, znany z rozrzutności.



Belgijska para królewska w Wiedniu: Król Albert belgijski w otoczeniu swej żony Elżbiety i dzieci.

który jest potomkiem Braganzów po kądzieli. To też zdaje się, że ostateczne ułożenie się stosunków w Portugalii i zupełne uspokojenie kraju jest kwestyą długiego jeszcze czasu.

Obchód grunwaldzki w Ameryce.

Nietylko na obszarach polskiej ziemi w Europie święcono w tym roku uroczyście rocznicę zwycięstwa pod Grunwaldem. Wszędzie, gdzie rodacy nasi żyją skupieni, gdzie tworzą większe gminy, wielka ta, pamiętna rocznica odbiła się żywem echem, jako dzień święty, dzień uroczysty.

Nawet hen daleko za Oceanem, na wolnej ziemi amerykańskiej, pamiętali Polacy, tam żyjący, o tej historycznej rocznicy i w godny sposób ją uczcili. Najuroczyściej może wypadł obchód rocznicy grunwaldzkiej w Kurytybie, stołecznem mieście Parany, jednego ze stanów brazylijskich. Zarówno w Kurytybie, jak innych miejscowościach Parany, mieszka bardzo wielu Polaków, którzy mimo opuszczenia od lat wielu ojczystych stron, zachowują język polski i zwyczaje narodowe z wielkim pietyzmem. Mają oni tam kilka towarzystw, rozwijających się bardzo pięknie, a wśród nich przedewszystkiem „Sokół“. Z inicyatywy „Sokoła“ odbyła się w Kurytybie przed paru tygodniami piękna i podniosła uroczystość grunwaldzka, której przebieg był dowodem znacznego uświadomienia narodowego Polaków amerykańskich.

Obchód rozpoczął się nabożeństwem w kościele polskim, gdzie zgromadzili się delegaci wszystkich towarzystw polskich ze swymi sztandarami. Po nabożeństwie i patryotycznem kazaniu, uczestnicy obchodu uszeregowali się w ogromny pochód i przy dźwiękach trzech muzyk ruszyli głównemi ulicami Kurytyby. Przeszedłszy przed pałacem prezydenta Parany, udali się następnie do teatru Hauera, gdzie w obszernej, pięknie przystrojonej sali odbyła się dalsza część obchodu, na którego program złożyły się przemówienia, śpiewy i deklamacye.

Drugie zebranie odbyło się w tej sali wieczorem. Przedstawienie rozpoczęto żywym obrazem allegorycznym, przedstawiającym przyjęcie Polaków w Brazylii, poczem amatorowie odegrali znany utwór sceniczny „Wóz Drzymały“. Zakończenie obchodu stanowił żywy obraz „Wernyhora“.

Prócz tłumów Polaków, którzy zapełnili szczelnie obszerną salę teatralną, obecni byli na obchodzie grunwaldzkim poważni przedstawiciele i dygnitarze rządu Parany, których patryotyzm Polaków i ich przywiązanie do ojczystych zwyczajów i pamiątek szczerze ujęły.



Obchód grunwaldzki w Ameryce: „Sokół“ w pochodzie przez ulicę Riachnelo w Kurytybie.

Z obchodu grunwaldzkiego w Kurytybie dostaliśmy obecnie parę zdjęć, zamieszczamy je więc w dzisiejszym numerze, jako cenny dokument i dowód patryotyzmu naszych braci za Oceanem.

Belgijska para królewska w Wiedniu.

Król Albert belgijski z małżonką swą Elżbietą składają obecnie wizyty na dworach europejskich. Z kolei przybyli także i do Wiednia, aby złożyć swe uszanowanie seniorowi europejskich monarchów, z którym łączą ich węzły powinowactwa.

O ile poprzednik nie cieszył się wcale sympatyą ani w swym kraju, ani za granicą i nie wiele się troszczył o opinię publiczną, myśląc tylko o sprawach finansowych i różnych miłosnych awanturkach, o tyle znów jego następca powszechnie jest lubiany, i stara się o utrzymanie dobrych stosunków z innymi europejskimi dworami.

Interesy Belgii i Austryi nie stoją w żadnym związku ze sobą, przemysł ich i polityka finansowa nie mają żadnych stycznych punktów, nie troszczono się też o utrzymanie dobrych stosunków między o-



Obchód grunwaldzki w Ameryce: Towarzystwo „Sokół“ w Kurytybie (Parana, Brazylia).

bydwoma domami panującymi. Pierwszym krokiem w tym kierunku jest obecna oficyalna wizyta we Wiedniu, mająca utorować drogę do wzajemnego porozumienia. Dla obu państw będzie ono mieć bardzo dodatnie skutki.

Królewska para przybyła do Wiednia w ubiegły poniedziałek. Na dworcu zachodnim oczekiwał na gości cesarz Franciszek Józef w otoczeniu arcyksiążąt i dworu. Po serdecznem powitaniu, wzajemnem przedstawieniu swych świt i przejściu przed frontem kompanii honorowej, odjechali królestwo do Burgu, gdzie zamieszkali jako goście cesarza.

Królestwo zabawili we Wiedniu do środy. W tym czasie odbyły się na ich cześć różne uroczystości, przepisane ceremoniałem dworskim.

Polscy górnicy w Borysławiu.

We Lwowie odbył się niedawno zjazd polskich górników i hutników przy bardzo licznym udziale przedstawicieli obu tych gałęzi techniki. Szereg fachowych referatów i odczytów, jakie na zebraniach plenarnych i sekcyjnych zostały wygłoszone, nadał



Obchód grunwaldzki w Ameryce: Czoło pochodu na placu General Ozorio w Kurytybie.

W świcie królestwa belgijskich znajdowali się: marszałek dworu hrabia Jan de Merode, jeneralny adjutant i oficer ordynansowy, dwór królowej stanowili marszałek baron Herman de Voelmont i damy dworskie hrabina de Henricourt, de Grunne i hrabina Elżbieta d'Oultremont. Nadto ze strony dworu austryackiego przydzielono do boku królestwa honorową służbę, złożoną z wyższych wojskowych i dygnitarzy dworskich.

Powitanie tak na dworcu, jak i w mieście przez tłumy zebranej publiczności było nader serdeczne, młoda para królewska spotykała się na każdym kroku z ciągłemi owacyami wiedeńczyków, którzy nie szczędzili jej dowodów sympatyi.

zjazdowi cechę bardzo poważną, prawdziwie naukową.

Na zakończenie zjazdu urządził komitet organizacyjny wycieczkę do Borysławia, dokąd wybrało się przeszło 100 osób. Naprzód zatrzymali się w Drohobyczu, gdzie zwiedzili rządową odbenzyniarnię. Urządzenie tego zakładu, prawdziwie europejskie, podobało się nadzwyczaj wszystkim obecnym.

Z kolei udano się powozami do Modrycza, gdzie przypatrzono się zbiornikom ziemnym, tak olbrzymim, że zajmują morgowe przestrzenie. W Modryczu też odbyło się śniadanie, gdzie w czasie pogadanki podniesiono szereg pięknych myśli oraz wychylono kilka toastów.

Stamtąd udano się do Borysławia i Tustanowic. Tam zwiedzano kolejno najwspanialsze urządzenia szybowe a przedewszystkiem podziwiano najnowszy system wiertniczy, który dziś już nie jest kanadyjski lecz kanadyjsko-galicyjskim. Objaśnień interesujących udzielali inżynierowie miejscowi.

Popołudniu odbył się w sali „Sokoła“ bankiet, dany na cześć gości przez borysławskich nafciarzy, poczem goście odjechali z powrotem do Lwowa.

Złote gody.

W kościele pokarmelickim w Warszawie odbył się rzadki obrzęd „złotego wesela“. Zaciekawił on liczną publiczność tem więcej, że obdarzona „złotemi laskami“ para małżeńska cieszy się ogólnym szacunkiem szerokich kół Warszawy, i że błogosławieństwa „młodej parze“ udzielał jej syn, jeden z najzasłużeńszych kapłanów dyecezyi kieleckiej.

„Młodą parę“ stanowili pp. Władysław i Wanda z Janeckich Zapałowscy, on syn majora z r. 1831, ona córka rozgałęzionej rodziny ziemiańskiej w sandomierskiem. Pobrali się w czasach gorących, bo w przeddzień wypadków 1861—1863 r. Pracę ich na roli w sandomierskiem przerwał wybuch powstania. Za udział w niem oderwano młodego małżonka od ogniska domowego, od żony i dwojga dzieci i wywieziono w głąb Rosyi do Ust'Sysolska. Tam dowiedział się o przyjściu na świat syna, który teraz pobłogosławił jego złote gody. Otrzymawszy po 5-ciu latach amnestyę, osiadł na nowo na roli i dopiero na „stare lata“ przeniósł się do Warszawy.

Jubilat znany jest przytem jako autor wielu artykułów społecznych, opisów ziemi ojczystej i niezwykle interesującego pamiętnika z roku 1863. Prace swe zamieszczał w *Tygodniku illustrowanym*, *Gońcu*, *Ziarnie*, *Sztandarze* i t. d.

W uroczystości rodzinnej brali udział oprócz dzieci i wnuków, przedstawiciele licznych rodzin ziemiańskich z sandomierskiego i innych okolic Królestwa: Ryttlowie, Janeccy, Kochanowscy, Górscy, Winniccy, Rakowieccy, de Fontainowie, Kalinowscy, Koryccy, Wastkowscy itd. W gronie „weselnem“ znajdował się i Kazimierz Bartoszewicz, którego matka, a żona historyka Juliana była siostrą rodzoną jubilata.

Wśród licznych telegramów nadesłanych z życzeniami „sędziwej parze“ znajdował się i telegram od JE. ks. biskupa Augustyna Łosińskiego.

Illustracya, zamieszczona w niniejszym numerze, przedstawia obchodzącą złote gody parę, bezpośrednio po ceremonii kościelnej, w czasie której wręczono jej laski, ozdobione krzyżami.



Fot Russ, Drohobycz.

Polscy górnicy w Borysławiu: Uczestnicy wycieczki w Borysławiu.

ARNOLD GALOPIN.

ZAWIKŁANA SPRAWA.

7

Ale jeżeli każę go aresztować, rzuci to popłoch na inteligentniejszych członków bandy. Zresztą, czyż nie powinienem przedtem uprzedzić pana Crawforda? Nie byłoby to bardzo grzecznie aresztować kogoś z jego służby, nie uprzedziwszy go o tem...

Ubierałem się powoli, sam nie wiedząc, co postanowić w tej mierze... Tymczasem otrzymałem drugi telegram. Wysłany był z Sydney, z fillii ajencyi Pinkerton i donosił:

„Osoba nieznana zgłosiła się do banku Columbia chcąc sprzedać dziesięć obligacyi Newcastle Mining Comp., obłożonych zastrzeżeniem ze strony sukcessorów Hugona Chancen z Green-Park".

Dalej podane były numery zakwestyonowanych akcyi, kończyły zaś te słowa:

„Po dalsze szczegóły niech p. A. D. będzie łaskaw zgłosić się do telefonu".

Poszedłem zatem do biura telefonów i niebawem znałem już wszystkie szczegóły, do nowej próby przehandlowania skradzionych papierów odnoszące się. Osoba, która przedstawiła te papiery w banku Columbia, był starzec w niebieskich okularach. Wobec odmowy kupna papierów, uciekł czemprędzej, zabierając te z nich, które zdążył złapać, a gdy go personal bankowy chciał przytrzymać, zagroził rewolwerem i korzystając z chwili zamieszania, dopadł do drzwi i zniknął w tłumie.

Miałem więc słuszność; stałem wobec szajki zorganizowanej i rozgałęzionej po różnych miastach Australii. Szkoda, że tego starca nie przyłapano. Postanowiłem odtąd liczyć tylko na samego siebie. Na siebie i na los — to dobroczynne bóstwo policystów. Najdrobiazgowsze obserwacye, węch, najsprytniejsze rozumowania, wszystko to ostatecznie spoczywa na pierwszym fakcie, z którego detektyw dopiero korzysta. I pod tym względem od losu on zależy.

Los w sprawie Green-Park tak mi miał posłużyć, zmieniając taktykę moją i prowadząc do celu, że byłbym niewdzięcznikiem, gdybym mu niniejszem publicznego hołdu nie złożył.

. . . .

Wróciwszy z biura telefonicznego, przeszedłem koło willi Crawford. Przekonałem się, że Mac Pherson pilnie stróżuje na swem stanowisku. Ponieważ skarżył się, że głodny i zmęczony, a przytem czekały go inne obowiązki, obiecałem go zluzować. — Nasz więzień tymczasem, zdaje się, wcale nie myślał uciekać. Przez otwarte drzwi garażu widać było Stanga, wyciągniętego na starem bujanem krześle, ściskającego głowę rękoma. Chory był widocznie i nic go nie obchodziło.

W pół godziny później przyprowadziłem Mac Phersonowi zastępcę. Był nim Bloscham, który w ogień poszedłby dla mnie. Umieściwszy go na straży, sam postanowiłem raz jeszcze udać się do Green-Park. Wsiadłem tedy na bicykl i podążyłem do willi pana Chancera. Wszystko zastałem tam tak, jak było. Ciało tylko ofiary przeniesiono do łazienki, zamienionej naprędce w lodownię, gdyż miano przedsięwziąć sekcyę. Wyszedłem do ogrodu. Zbytecznem mówić, że podeszwa bucika dokładnie odpowiadała odciskowi w piasku. Wszystkich domowników willi wziąłem sobie za świadków, a uperfumowanemu lokajowi nakazałem pilnować tej strony ogrodu, by kto przypadkiem nie zatarł śladu. Byłbym był rad tę małą ceremonię odbyć w obecności pana Crawforda — gdyż byłoby go to przygotowało do aresztowania jego szofera. Niestety, nie było go w domu.

Teraz, mając już ten ostatni dowód materyalny, postanowiłem od nad-inspektora policyi w Melbourne zażądać aresztowania Stanga — prosząc go wszakże, by uczynił to potajemnie, tak ażeby nie płoszyć wspólników bandyty.

Rozdział X.

Powróciwszy do Broad-West i dawszy Bloschamowi parę wskazówek, a także dodawszy mu do pomocy młodzieńca, nazwiskiem Frog, którego już nieraz w tego rodzaju potrzebach używałem, wsiadłem do pociągu pośpiesznego i wysiadłem w Melbourne w porze drugiego śniadania. Miałem na celu dowiedzieć się, czy też nadinspektor dotrzymał mi słowa i czy kazał strzedz hoteli, restauracyi i domów gry. Udałem się zatem do Criterion, jednej z najpiękniejszych restauracyi miasta, gdzie jednakże bardzo mieszana schodzi się publiczność. Jakież było moje zdumienie, gdy wszedłszy do jadalni Criterionu, spostrzegłem tam pana Crawforda! Podszedłem do milionera z wyciągniętą ręką. Przywitawszy się, uprzejmie ofiarował mi miejsce przy swoim stoliku.

— Prawdziwie się cieszę z tego spotkania — rzekłem z uśmiechem.

— I ja niemniej, drogi panie... — odpowiedział pan Crawford. — No i jakżeż tam z tem śledztwem? Czyżby ów morderca znajdował się w Melbourne?

— Bardzo być może — odpowiedziałem wymijająco — to znaczy, że jest tu i tam... że jest wszędzie. Imie jego legion...

— Więc pan przypuszcza, że to cała szajka?

— Śledztwo to wykaże — odpowiedziałem, wierny zwyczajowi nie wypowiadania zawiele.

— Życzę panu powodzenia... ale możebyśmy tak co zjedli?

— Przyznam się, że z przyjemnością.

Pan Crawford był bardzo uprzejmy i, jak się teraz przekonałem, miał wyborny apetyt. Postanowiłem stopniowo przygotować go do zwierzenia, którego on mile nie przyjmie zapewne... Zacząłem tedy:

— Byłem tam po raz drugi. Wezwano ponownie lekarzy, ażeby się oświadczyli co do powodów śmierci... będą robili sekcyę.

— Sekcya wykaże uderzenie krwi na mózg.

— Zapewne... Ale to, które spowodowało śmierć pana Chancera było, jak panu wiadomo, wywołane mechanicznie, uderzeniem w czaszkę...

— Ma pan chyba racyę... to zaś jest niewątpliwem, że ktoś zakradł się tajemnie do gabinetu pana Chancera.

— W istocie, ja to już, zdaje mi się, udowodniłem.

— Tak. I jeszcze raz powtarzam, niech pan szuka wpośród domowników. Ktoś tylko dobrze znający obyczaje nieboszczyka, mógł się do niego dostać.

— Przepraszam, drogi panie, ktoś ze służby pana Chancera mógł może zbrodniarzowi dostarczyć informacyi, ale domownik wszedłszy poprostu drzwiami, nie uciekałby się do tej sztuczki z ryglem, którą panu pokazywałem na ukrytych małych drzwiczkach. To musiał zrobić ktoś obcy — może być puszczony przez kogoś z domowników...

— W istocie, prawdopodobnie musiało tak być.

Rad byłem niezmiernie, że milioner wchodzi w moją myśl. I pochlebiało mi to i ułatwiało możność powiedzenia mu tego, co mu powiedzieć zamierzałem. Chciałem jednakże, by doskonałe śniadanie najpierw dobiegło do końca, zanim przejdziemy do niemiłych spraw. Pan Crawford koniecznie chciał zapłacić za mnie.

— Pan jesteś moim gościem, kochany panie Dickson — rzekł. — Zabieram pana ze sobą. Towarzystwo pańskie tak mi jest miłe, że ani myślę pana puścić... Czy pan chce, żebym panu towarzyszył w pańskich poszukiwaniach?

Ukłoniłem się tylko na znak zgody; ułożyłem to już sobie, że milionera zabiorę ze sobą, a teraz on sam ofiarowywał mi swe towarzystwo. Schlebiało mi to i wyznaję, że uśmiechała mi się myśl olśniewania go rezultatami mojej taktyki.

— Przejdźmy się, jeśli pan ma ochotę, po mieście — zaproponował — czas jest przepiękny, a idąc, opowie mi pan i zabiegi swoje i dotychczasowe rezultaty śledztwa...

I na uzasadnienie swoich słów wskazał mi ruchem brody dość przyzwoicie ubranego jegomościa z faworytami, który od czasu do czasu rzucał w stronę naszą przelotne spojrzenie.

— Wszędzie się dziś człowiek na policyantów natyka — zauważył, skrzywiwszy się. — Nie przymawiając, drogi panie Dickson — dodał, zmiarkowawszy się.

Ukłoniłem się z uśmiechem.

— Ja mówię o tych szpiclach... tych z zawodowej policyi — tłómaczył.

Osobistość, która go drażniła, był to tajny policyant, bez żadnej wątpliwości. Podziwiałem węch pana Crawforda, ale jeszcze bardziej słowność nadinspektora. Wielkie restauracye były strzeżone. Miałem na to dowód.

Pan Crawford rzucił serwetę na stół i wyszliśmy. Ja jednakże ciekaw byłem, czy również pilnują i innych lokali, gdzie pieniądz płynie bez rachunku. Ciekaw byłem, co zrobiono dla domów gry w Melbourne.

— Coby też pan na to powiedział, gdybyśmy tak zaszli do klubu? — zaproponowałem podstępnie.

— Do klubu?... więc pan grywa w hazard, drogi panie Dickson?

— Tak, zdarza mi się to czasami.

— Dziwi mnie to.

— Dlaczego?

— Ponieważ człowiek, którego mózg zajmują wciąż takie suche zadania, jak te, które pan rozwiązujesz, niema przecież czasu myśleć o zabawie, ani o drobnostkach... tak ja to przynajmniej sobie wyobrażam.

— Gra nie jest tak płochą zabawą — odpowiedziałem — gra, to swojego rodzaju gimnastyka i ja jej wiele mam do zawdzięczenia.

— Czyż w istocie?

— Tak jest... system dedukcyjny dobrego gracza i sposoby dobrego detektywa, to jedno i to samo. To co gracz nazywa weną, jest to tosamo, co u nas nazywa się tropem. Ta sama Ariadna trzyma końce obu tych nici, a na imię jej Logika, drogi panie.

— Ot, zaczynasz pan filozofować — przerwał mi pan Crawford. — Stanowczo zadziwia mnie pan! A więc dobrze, pójdźmy do klubu...

— Ach, na małe półgodzinki najwyżej... dla prostej wprawy, dla pobudzenia myśli...

— Ma pan przynajmniej monetę przy sobie? — zapytał, śmiejąc się, Krezus.

— O, mam dosyć... mam przy sobie kilka banknotów...

— Pozwól pan sobie powiedzieć, że to nie jest nic... to starczy na jedno zagarnięcie łopatki krupiera.

— Ja umiem być powściągliwym...

— *All right!* W każdym razie proszę w razie potrzeby liczyć na mnie, drogi panie.

Podziękowałem mojemu wspaniałomyślnemu sąsiadowi i w kilka chwil potem wchodziliśmy do najbardziej uczęszczanego domu gry w Melbourne, do klubu Pacific. Poszliśmy jednomyślnie do sali rulety, ja zaś z przyjemnością zauważyłem, że towarzysza mojego poznawały wszystkie przy stolikach siedzące grube ryby. Zdawało mi się, że i na mnie, skromnego detektywa, spadał stąd pewien splendor.

Zajęliśmy miejsca. Pan Crawford zaczął od tego, że od razu banknot położył na stole. Ja bo grałem skromnie, tem co miałem srebrnej i złotej monety w kieszeni mej kamzelki. Skłamałem przed moim sąsiadem. Naprawdę bowiem nie grywam nigdy i trzymam się zdala od tej niebezpiecznej syreny, rulety.

I stało się to, co się zwykło dziać z nowicyuszami. Zacząłem wygrywać. Pan Crawford zaś przegrywał raz zarazem i to sumy dosyć znaczne, ponieważ wysoko stawiał. Broniłem się, jak mogłem, by się nie dać porwać. Przecież ja zresztą nie po to, by grać, przyszedłem tutaj. Wiadomo, jaki cel miałem na oku.

Rozdział XI.

Nie okazując tego po sobie, przyglądałem się nieznacznie otaczającym mnie graczom i nagle uwagę moją ściągnął jegomość, dosyć niezgrabny, kręcący się dokoła stołów. Czy to odwróciło moją uwagę, czy też odwróciło się ode mnie szczęście? Dość, że zacząłem przegrywać. Od tej chwili przegrywałem wciąż. Poszła cała moja wygrana, poszło to wszystko, co sobie na ten wypadek przygotowałem. Chciałem już odejść, ażeby nie sięgać do mojej rezerwy w banknotach, ale zaangażowałem się niemądrze ponad to, co miałem przed sobą i rad nie rad sięgnąłem po portfel. Wsunąłem rękę do wewnętrznej kieszeni żakietu i o mało nie krzyknąłem: portfel mój zniknął! Szukałem przy sobie, przetrząsałem wszystkie kieszenie. Daremnie. Okradziono mnie!

Za tę niewinną zachciankę zapłaciłem pięćdziesięciu funtami, miesięcznym moim dochodem! Trzeba się jednak było trzymać.

Przypomniałem sobie wtedy uprzejmą propozycyę pana Crawforda i zbliżywszy się do niego, zwierzyłem mu się po cichu. Pan Crawford wygrywał teraz; moja przygoda nie bardzo go obeszła.

— Ależ jak najchętniej — odpowiedział, nie podnosząc oczu. — Ile panu potrzeba?

— Dziesięć funtów — to mi wystarczy...

I nie odwracając oczu od rulety, milioner wziął ze stołu przed sobą dziesięć suwerenów i nieznacznie wsunął mi je do ręki.

Podziękowałem uprzejmemu człowiekowi i wróciwszy na swoje miejsce, rzuciłem na stół pięć sztuk. W tej samej chwili spostrzegłem, że niecie-

kawa osobistość, którą już przedtem zauważyłem, nachyla się nad złotemi monetami i bierze jedną z nich w palce bez ceremonii i kładzie napowrót z głupim uśmieszkiem.

— Dajżeż pan pokój! — rzekłem zirytowany, sądząc, że to jest jakiś waryat zabobonny, który „na szczęście“, szuka cyfry na monecie. Spojrzał na mnie bezczelnie i zabrał dwa suwereny, dawszy wpierw znak krupierowi.

— Czy to pańska własność, te złote monety?— zapytał.

— Tak — odpowiedziałem — nie pańska w każdym razie.

Nieznajomy zbliżył się do mnie i szepnął:

— To dobrze. Proszę iść za mną.

A że nie chciałem usłuchać, wyjął z kieszeni dobrze mi znany pomarańczowy bilet.

Ten człowiek, był to tajny ajent policyjny!

Jeżeli czytelnika to dziwi, to niechżeż wie, że i ja wtedy zdziwiłem się niemniej.

Ja, Allan Dickson, detektyw, aresztowany! aresztowany w trakcie spełniania mojego obowiązku! Aresztowany przez pewien rodzaj niższego rzędu kolegi, chociaż właśnie ja po to tu byłem, by przekonać się, czy on jest na posterunku i nadto, o ironio! aresztowany właśnie w tej chwili, gdy okradł mnie zręczny złodziej kieszonkowy! I sam nie wiem, co wtedy we mnie przeważało: zdziwienie, czy oburzenie... Przez chwilę nie byłem zdolny odpowiedzieć nawet, nie byłem zdolny się bronić. Nie wiem, czy kiedy do tego stopnia straciłem głowę. Na szczęście krótko trwają u mnie najgwałtowniejsze wrażenia. Wyszedłem z sali za ajentem, nie odzywając się ani słowem, nie chciałem bowiem zwracać uwagi grających; w przedsionku jednak odzyskałem przytomność umysłu.

— Może mi pan zechce wytłómaczyć, co znaczy ta cała komedya?

— Nic panu nie mam do powiedzenia, mój panie.

— Jestem Allan Dickson, detektyw — nalegałem.

— Nic mnie to nie obchodzi, mój panie!

— Pan nadużywasz! — krzyknąłem, gdyż gniew zaczął mnie ogarniać.

— Spełniam swój obowiązek, mój panie i mam wyraźne rozkazy.

Co miałem czynić? — trudno! Rezonować i spierać się z tym człowiekiem o zakutej głowie, a przez to ryzykować, że tłum się zbiegnie, że skandal się zrobi, że rozejdzie się wieść, iż aresztują ludzi, którzy posiadają stemplowane suwereny?... Nie chciałem zwracać uwagi ani na siebie, ani na całą tę sprawę; wzruszyłem tedy ramionami i ufny, że wszystko wyświetli się w porę, nic już nie mówiąc, dałem się spokojnie prowadzić do więzienia.

Rozdział XII.

Tej ewentualności ja się jednak nie spodziewałem. Nigdy jednakże wiedzieć nie można, co w życiu detektywa zajść może. Wszystko jest możebne, jak państwo widzicie. Mogłem być zamknięty, uwięziony przez złoczyńców, albo przez zazdrosnych — czy można wiedzieć, co kogo czeka? — W przewidywaniu podobnych zdarzeń nosiłem zawsze przy sobie maleńką piłkę do przepiłowywania krat okiennych, drobniuchny sprzęcik, jak wykałaczka wraz z monetą złotą zaszyty pod podszewkę kamizelki. Miałem także mój długi płaszcz piaskowy, z którym się nigdy nie rozstawałem, a którego podszewka pozwalała mi przedzierzgiwać się nagle w inną osobę. Ta podszewka miała jeszcze inne zalety; krył się pod nią, oprócz kilku innych małych przedmiotów, długi jedwabny sznur, bardzo mocny, dzięki specyalnemu sposobowi plecenia. Sznur ten, bardzo cienki, dawał się złożyć w kilkoro i otaczał pod podszewką dolny brzeg płaszcza. Trzeba być przezornym, gdy się jest detektywem!

Elektryczność zabłysła nagle u sufitu mojej celi, która to cela była bardzo przyzwoicie urządzona. Prócz elektryczności była tam bardzo przyzwoita umywalnia z natryskiem zimnej i ciepłej wody, był stół do pisania z przyborami, dwa siedzenia, w tem jeden fotel bambusowy i szafka, gdzie oprócz książek nabożnych i biblii, było parę książek z literatury historycznej i podróżniczej. Łóżko, bardzo skromne, miało wkład metalowy i ten prosty a elegancki wygląd, jaki nadaje wielki porządek i połysk starannie utrzymanego mosiądzu.

Był to w istocie zaciszny i wygodny kąt, w którym się dobrze żyło — to też i pomyślałem, że nie dziw, jeśli niejeden biedak woli ten przytułek, niżeli nocleg w zaułkach, lub w przytuliskach przygodnych.

Jedzenie, które mi podano, było wcale smaczne, a naczelny dozorca więzienia uczynił mi ten zaszczyt, że przyszedł i towarzyszył mi podczas, gdy jadłem. Był to grubas o czaszce stożkowatej, śmiejących się oczach i czerwonym, a śpiczastym nosie.

— Czy pan wie — zapytał — pod jakim ciężkim zarzutem pan stoi?

— Wiem, proszę pana... — odpowiedziałem, przepraszając równocześnie, że nie przerywam obiadu. Przedemną stała baranina z grochem, którą zajadając, wychwalałem.

— Pańska sprawa bardzo jest poważna... — mówił dozorca. — Nie do mnie należy badać pana, ale jeżeli mogę dać panu dobrą radę... radziłbym nic nie ukrywać i szczegółowo wyznać udział swój w zbrodni w Green-Park...

— Ależ proszę pana... — chciałem mu przerwać.

— Pan się tu dostałeś pod fałszywem nazwiskiem, przyznaj pan szczerze?

— Dlaczegóż miałbym podawać fałszywe nazwisko, mój panie?

— Ha! ha! ha! To przecież wiadomo! Dla oszukania władz, samo się rozumie.

Wzruszyłem ramionami.

Dozorca przyglądał mi się ciekawie.

— Pan tak wygląda, jak gdyby pan otrzymał pewien stopień wykształcenia... to wielka szkoda... tak, wielka szkoda. No dalej, niech się pan przyzna! To pewnie zamiłowanie do hulanki doprowadziło pana do tego? Ha! ha! ha! Noc przynosi dobrą radę... niech pan pomyśli o tem, co mówiłem...

Podziękowałem zacnemu dozorcy i bardzo ostentacyjnie udałem, że się zabieram do snu. Poczciwiec powiedział mi dobranoc, ja jemu nawzajem i zostawił mnie wreszcie samego.

W tej chwili na więziennym zegarze wybiła dziewiąta. Chociaż spokojny z natury, jak również z zawodowego przyzwyczajenia, można sobie wyobrazić, jak gorączkowo niecierpliwiłem się teraz... Nie mogłem jednakże zabrać się do wykonania mojego zamiaru, dopóki nie ustał wszelki ruch w więzieniu. Trzeba było działać przezornie. Wyszedłem więc na krzesło i spojrzałem przez okno. Po obszernym, na pół ciemnym dziedzińcu, przesuwały się jakieś cienie. To dozorcy zapewne szli objąć służbę nocną. Od czasu do czasu dolatywały nawoływania, zgrzyt rygli, a ponad tem wszystkiem odzywało się głuche huczenie maszyny parowej, rozdzielającej światło elektryczne w wzorowem więzieniu Wellington-Gaol. Nareszcie, około jedenastej, w korytarzach i okienkach było już ciemno i stosunkowa cisza zaległa w miejsce poprzedniego gwaru.

— Dalejże do dzieła! — rzekłem sam do siebie. Wyciągnąłem z pod podszewki kamizelki małą piłeczkę i ostrożnie otworzyłem okno. Okno zakratowane było poprzecznemi sztabami żelaza, w odstępach po dwadzieścia centymetrów. Ponieważ jestem bardzo szczupły, wystarczało usunąć jedną sztabę. Zabrałem się więc do roboty. Niewidzialne ząbki mojej piłki czyniły cuda. Czułem, jak wgryzają się w żelazo, a przytem zaledwie cichutki chrzęst było słychać.

Zajęty moją pracą, mierzyłem równocześnie okiem wysokość, na jakiej się znajdowałem. Nie było tu mowy o romantycznej ucieczce z wieżycy, gdyż celka moja znajdowała się na pierwszem piętrze. Gdyby nie ryzyko spadnięcia na jakiś niewidzialny przedmiot, albo gdyby nie obawa sprawienia hałasu przy opadnięciu na ziemię, byłbym mógł wyskoczyć poprostu, nie uciekając się nawet do sznura.

Nareszcie sztaba ustąpiła. Wypchnąłem ją nazewnątrz, by módz przez otwór przesunąć skromną moją figurę. Uczyniwszy to, powróciłem do celi, wziąłem mój płaszcz i przegryzłszy zębami małą dziurkę w podszewce, wyciągnąłem sznurek, znajdujący się wewnątrz. Wyciągnąwszy sznurek z ukrycia, złożyłem go we troje i przytwierdziłem do nietkniętej w oknie sztaby żelaznej. Wszystko więc już było gotowe. Nasłuchiwałem jeszcze przez kilka minut, poczem włożywszy płaszcz i naciągnąwszy kapelusz na same uszy, wysunąłem się przez otwór w kracie.

Bez żadnej trudności przebyłem po sznurze krótką odległość od ziemi i wnet stanąłem na nią tak cicho, jak listek, który opada. Przyznaję, że odczułem prawdziwą radość, poczuwszy się na wolnem powietrzu, radość uczniaka, jadącego na wakacye, albo żołnierza, zaczynającego urlop...

Ej! zaprędko się cieszyłem!... Byłem, to prawda, na wolnem powietrzu, ale w obrębie dziedzińca.. to znaczy, że zawsze jeszcze w obrębie murów więzienia. Czekał mnie najważniejszy krok: czekało mnie przejście przez bramę — a cerber, który jej pilnował, zdziwi się niechybnie, ujrzawszy mnie, wypływającego w cieniu. Należało odważnie nadrabiać do końca. Pewnym więc krokiem i stukając obcasami wszedłem pod sklepienie, w głębi którego była loża odźwiernego. Przedemną wznosiła się ciężka brama, żelazem okuta, odstraszająca. Poza nią była wolność!

Niema co! trudna rada! stawiałem wszystko na kartę; więc też rzuciwszy się na drzwiczki, jąłem w nie tłuc pięściami.

— Hej! portyer! — krzyczałem — zbudźcie się! zbudźcie się!

Ruch wszczął się w głębi loży... na mgnienie oka zdjął mnie prawdziwy strach.

— Czy słyszycie? — podniosłem głosu. — Wstawajcie, a żywo!

Drzwi uchyliły się i przy świetle kaganka, oświecającego sklepienie, ujrzałem postać rozespanego człowieka.

(Ciąg dalszy nastąpi).



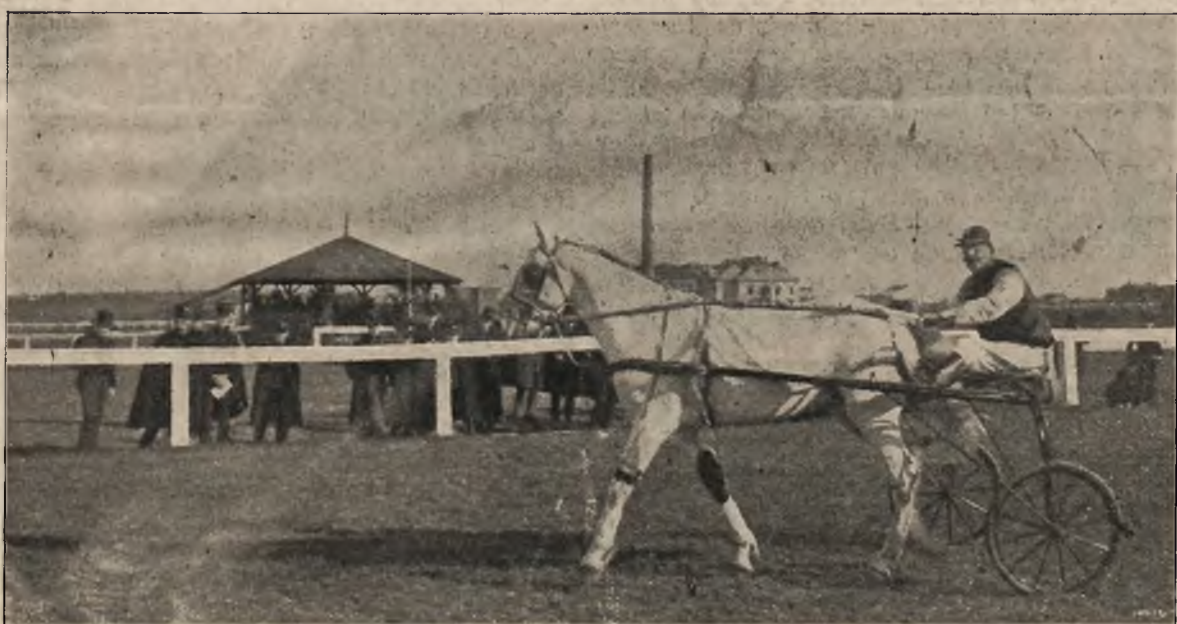
Pokazał dobrze mi znany pomarańczowy bilet.



Jaskinia zbrodni na Jasnej Górze: Dr. Henryk Jasieński, komisarz policyi, który aresztował ks. Macocha na dworcu w Krakowie.

Wyścigi kłusowe.

Tegoroczny jesienny meeting wyścigowy we Lwowie, urozmaiciły biegi kłusowe, po raz pierwszy wprowadzone na tor Cetnera. Mimo niezbyt licznego udziału kłusaków, zawody te zainteresowały ogólnie lwowskie koła sportowe i podobały się powszechnie, jako gałąź sportu piękna i zasługująca na jak najszersze rozpowszechnienie.



Wyścigi kłusowe: „Marcell" ks. Stanisława Jabłonowskiego, zwycięsca biegu kłusowego.

Z wyścigów tych nadesłano nam właśnie ze Lwowa dwa zdjęcia, z których jedno przedstawia start czterech zaprzęgów kłusowych, drugie zaś zwycięscę w tym biegu, ks. St. Jabłonowskiego z „Marcell" w zaprzęgu.

Powodzenie, jakie ten rodzaj wyścigów, rozpowszechnionych na wszystkich niemal torach zagranicznych, zdobył wśród publiczności lwowskiej, jest rękojmią, iż utrzymają się one na stałe na torze lwowskim.

Poza znaczeniem sportowem mają wyścigi kłusowe niemały urok i dla grających w totalizatora, gdyż „pożyteczna" ta instytucya przyjmuje zakłady i na biegi kłusowe.

Dzielni Sokoli śląscy.

Dowód wielkiego i szczerego patryotyzmu, prawdziwego ukochania ziemi ojczystej, złożyli trzej druhowie Sokoła w Zabrzu na Śląsku pruskim. Oto postanowili oni przywieść na taczkach ziemię śląską do Niepołomic pod Krakowem i złożyć ją na kopcu grunwaldzkim, wznoszonym tam obecnie na pamiątkę wielkiego zwycięstwa nad Krzyżakami. Postanowienie swe istotnie też w czyn wprowadzili.

Na sporządzonych dla nich w tym celu trzech taczkach złożyli trzy worki, napełnione ziemią śląską, poczem ruszyli śmiało w daleką i pełną uciążliwych trudów drogę. Z Zabrza wyszli w środę rano i po czterech dniach wytężającego marszu stanęli w sobotę popołudniu wraz ze swemi taczkami u granic Krakowa.



Jaskinia zbrodni na Jasnej Górze: Kancelista policyi Kantor, który towarzyszył dr. Jasieńskiemu przy aresztowaniu ks. Macocha i pisał protokół przesłuchania.

Zawiadomiony o zbliżaniu się dzielnych Ślązaków do Krakowa, Sokół tutejszy powitał ich przy drodze Łobzowskiej. Oczekiwał ich tam prezes gniazda krakowskiego, radca Turski, w otoczeniu kilku krakowskich Sokołów. Ulicą Łobzowską i Nowowiejską a następnie Karmelicką i Wolską podążyli dzielni Slązacy ku gmachowi Sokoła.

Tam odbyło się wieczór tego dnia w przystrojonej sali zebranie towarzyskie, w czasie którego przy skromnej wieczerzy podnoszono dzielność i wytrwałość druhów z Zabrza i toastowano na ich cześć. Następnie udali się znużeni piechurzy na spoczynek a następnego dnia rano udali się w dalszą drogę ku Niepołomicom. Odprowadziło ich tam pokaźne grono Sokołów krakowskich pieszo i na rowerach, nadto popołudniu wyruszyła tam z Krakowa wielka wycieczka sokola.



Jaskinia zbrodni na Jasnej Górze: Jerzy Walkwist, naczelnik wydziału śledczego w Piotrkowie, który pierwszy wpadł na właściwy trop zbrodni.

W Niepołomicach wywieźli Sokoli śląscy przywiezioną ziemię na kopiec grunwaldzki, co tłumnie tam zebrana publiczność powitała hucznymi oklaskami i okrzykami na cześć sympatycznych rodaków.

Czyn ich, dokonany wśród bardzo trudnych warunków, wymagający nietylko sił fizycznych ale i wielkiej siły woli, zasługuje istotnie na publiczne i jak najgorętsze uznanie. Jest też dowodem, że bracia nasi pod zaborem pruskim, mimo szalonego ucisku i prześladowań, pamiętają o obowiązkach wobec ojczyzny i gotowi jej zawsze służyć.



Wyścigi kłusowe: Start biegu kłusowego; od lewej ku prawej: „Zena" p. Szendralewicza; „Mitzi" p. J. Cybulskiego; „Marcell" ks. Jabłonowskiego i „Barynia" p. Ułaszyna. (Fot. M. Münz, Lwów).

Kronika tygodniowa.

(Zbrodnia na Jasnej Górze. — Jakie ma ona znaczenie i jakie mogą być jej następstwa. — Kto winien. — Domysły i przypuszczenia. — Jak powinniśmy się zachować wobec dokonanego faktu. — Król Manuel na emeryturze. — Kłopoty finansowe całej rodziny. — Rozprzężenie w kraju. — Król hiszpański przerażony. — Co będzie z matrymonialnymi planami Manuela. — *Naprzód* wypędza zakony z Polski. — Ujęcie się socyalistów w sprawie drożyzny. — Jak wyglądają rządowe obietnice. — Cholera i sejm. — Tydzień awiatyczny. — Wielki Kraków.)

Niestety, pod bardzo niemiłem wrażeniem przychodzi mi rozpocząć obecną kronikę. Skandaliczne sprawy, jakie wykryto na Jasnej Górze, w tem miejscu tak drogiem dla każdego Polaka i katolika, odbiły się smutnem echem w całym kraju i dają powód do nader przykrych refleksyi na ten temat, a wrogom naszym, szczególniej tym z Berlina, posłużą niezawodnie do nowych napaści tak na katolicką religię, jak i polską narodowość.

Dramat ów, którego bohaterem jest były Paulin Damazy Macoch i wspólnicy, jest dla całego narodu prawdziwą klęską, gorszą od pruskich rugów i prawa wywłaszczania, bo przynosi nam moralną szkodę, jakiej i wieki całe nie powetują. Fakt, że zbrodniarzem, okradającym cudowny obraz, był jeden z grona tych, których obowiązkiem świętym była jak najtroskliwsza jego opieka, jest wprost ohydnym i nawet wierzyć się nie chce, by człowiek nie pozbawiony rozumu i do tego Polak, kapłan i zakonnik, mógł się czegoś podobnego dopuścić! Z dniem każdym mnożą się jednak dowody, że nieszczęsny ów człowiek wraz z kilku innymi wspólnikami systematycznie prowadził dzieło zniszczenia, a gdy katastrofa się zbliżała, nie cofnął się nawet przed morderstwem!

Ręka ludzkiej sprawiedliwości nie oszczędzi zbrodniarza, któż jednak potrafi całemu społeczeństwu zadość uczynić za moralną krzywdę i pohańbienie, że w gronie jego znalazł się taki zwyrodniały osobnik? Wina leży po części w niezdrowych obecnych stosunkach społecznych, rozprzężeniu moralnem młodszego pokolenia i chęci używania, bez oglądania się na to, skąd brać środki potemu.

Jakie będą następstwa zbrodniczego czynu, dziś przewidzieć jeszcze nie można, w każdym razie spodziewać się należy wszystkiego najgorszego, a moralnym sprawcą tego jest właśnie ów były zakonnik, którego nazwisko czarnemi głoskami zapisze się na kartach naszych dziejów.

O sprawie tej przykro nawet wspominać, niestety, obowiązek kronikarski tego wymaga. Poruszamy nie tylko momenty radosne i godne zaszczytnej wzmianki, niejednokrotnie przychodzi nam podjąć pracę i koło wyczyszczenia Augiaszowej stajni, a tych mnoży się coraz więcej. Czynimy to z boleścią, w nadziei jednak, że taka wzmianka będzie przestrogą dla innych, by się strzegli iść tą drogą, którą szedł Macoch, niepomny świętości sukni, jaką nosił i szczytnego swego powołania!

Wobec smutnego zdarzenia przeszliśmy do porządku dziennego nad wszystkiemi innemi sprawami, z natężoną uwagą śledzimy tylko przebieg śledztwa, toczącego się równocześnie w Krakowie i na miejscu zbrodni, a każdy dzień przynosi coraz to nowsze szczegóły, przejmujące wstrętem i odrazą. Tajemnica otacza, rzecz naturalna, dochodzenia urzędowe, na tem też tle rodzą się najróżnorodniejsze domysły i przypuszczenia, obiegające i prasę i najszersze warstwy społeczeństwa. Można zupełnie seryo powiedzieć, że na całym obszarze ziem polskich niema człowieka, któryby o tem zdarzeniu nie myślał i o niem nie mówił, a wszyscy godzą się na to, że nic gorszego dla nas stać się nie mogło, że ponieśliśmy moralną klęskę, o jakiej wieki całe nie słyszano.

Dla nas i dla przyszłego pokolenia otwiera się pole naprawienia złego i zrehabilitowania się w oczach Europy, a do celu dojść możemy tylko pracując zgodnie i wytrwale, zapominając o wewnętrznych walkach i waśniach, jakie nas osłabiają i mając zawsze przed oczyma, że łatwo stracić dobrą sławę, ten klejnot dla każdego najdroższy, ale ją trudno odzyskać! Jeśli w ten sposób weźmiemy się do pracy, z czasem możemy się spodziewać i obfitych jej skutków, a choć nie zawsze i nie wszędzie pójdzie wszystko po naszej myśli, da Bóg, Macocha nie będzie już nigdy pomiędzy nami, nazwa zaś jego pozostanie w potomności synonimem wyrzutka społeczeństwa i łotra z pod ciemnej gwiazdy, choć mieszkającego na Jasnej Górze.

Ubiegły tydzień przyniósł i drugą sensacyę o światowem znaczeniu, nas jednak mało obchodzącą. Przed kilku tygodniami, gdy książę Mikołaj czarnogórski postanowił dyademem królewskim ozdobić swe skronie, witaliśmy nowe królestwo w Europie, dziś z karty tej samej Europy skreślamy królestwo portugalskie, a w jego miejsce wpisujemy najmłodszą republikę. Przewrót odbył się z pośpiechem iście telegraficznym, dzięki Bogu jednak prawie bez rozlewu krwi. Mały Manuelek, zasiadający pod opieką mamy i babci na tronie portugalskim i wstępujący godnie w ślady swego śp. papy, który robił długi na prawo i na lewo, gdzie się tylko dało, przeszedł w stan dobrze zasłużonego spoczynku i wyjechał do Gibraltaru pod opiekę Anglii. Wobec tego niema i mowy o dojściu do skutku jego matrymonialnych zamiarów, ani król angielski nie wyda za emerytowanego królika swej kuzynki, tem bardziej zaś cesarz niemiecki córki, do kogóż bowiem wygłaszałaby mowy, których niktby nie słuchał? Mocarstwa europejskie zgodziły się milcząco na zmianę formy rządu w Portugalii; w największym strachu był król hiszpański, w jego bowiem kraju wre także ruch republikański, który miał doprowadzić do wybuchu w rocznicę stracenia Ferrera, przypadającą, jak wiadomo, w październiku.

Portugalczycy pośpieszyli się zanadto i ubiegli Hiszpanów, niema się jednak i czemu dziwić, jeśli się zważy, że tamtejsze stosunki są wprost nie do zniesienia. W kraju panuje ostateczna nędza, gorsza nawet, niż w naszej Galilei. nie myślą tam nawet o mięsie argentyńskiem, nie mając nawet chleba, a tymczasem dwór królewski potrzebuje coraz więcej i więcej. Długi państwowe mnożą się, jak grzyby po deszczu, podatki ugniatają ludność, że nie powstydziłby się tego i najenergiczniejszy galicyjski inspektor podatkowy, a do tego w kraju panuje ciemnota i zacofanie. Rozgoryczenie wzrastało z dnia na dzień i zamanifestowało się zamachem na króla Karlosa przed trzema mniej więcej laty. Miało to być ostrzeżeniem dla następcy, gdy jednak i on szedł dalej tą samą drogą i zdał się na łaskę i niełaskę dworskiej kamaryli, a korupcya wzmagała się w całym kraju, przyjść musiało do wybuchu, królestwo portugalskie przeszło do historyi, republika zajęła jego miejsce, a Manuel powiększył szeregi emerytów, naturalnie z uwolnieniem od pensyi. Ponieważ jest on podobno bardzo wykształcony i „umije czytaty i pysaty“, będzie mógł ubiegać się bodaj o posadę konduktora przy tramwaju, jak bowiem słyszałem, lubi bardzo podróżować. — Bracia socyaliści powinni go jednak wziąć w opiekę i zaremonstrować przeciw temu, by go wypędzono z posady bez bodaj czternastodniowego wypowiedzenia. Nie ujęli się za nim prawdopodobnie dlatego, iż po wyjeździe towarzysza Ignaca do Ameryki, partya niema głowy tylko inne części ciała.

Z częstochowskiej afery skorzystał „Naprzód“ i wzywa do wypędzenia zakonników i zakonnic z Polski, skonfiskowania ich majątków i obrócenia na cele prawdopodobnie partyjne. W Krakowie wyszliby na tem najlepiej żydzi, kilka klasztorów jest na Kazimierzu, nikt więc inny, jak tylko oni objęliby je w posiadanie.

W odpowiedzi organowi partyi socyalistycznej zaznaczyć trzeba w imię słuszności, że nie wszystkie z naszych zakonów zasłużyły sobie na takie potępienie w czambuł, jest bowiem między nimi znaczna nawet większość, która roztacza bardzo błogą działalność, wobec czego zasługują nie na kasatę, lecz owszem na poparcie. Że osoby stanu duchownego powinny zwracać pilne baczenie na każdy swój krok, daleko pilniejsze, niż ktokolwiek inny, o tem niema i dwu zdań, dzięki Bogu u nas dzieje się jeszcze nie najgorzej!

W plusach natomiast na korzyść partyi zapisać się musi ujęcie się za ogólną sprawą drożyzny, która całemu społeczeństwu daje się zdawna we znaki. Tu i owdzie podnoszą się odosobnione głosy, różne stowarzyszenia podejmują inicyatywę, do walki z drożyzną, na seryo jakoś jednak zabrać się nie możemy, jedna partya socyalistyczna wytrwale przypomina rządowi, że powinien coś zrobić na korzyść ludności, któż bowiem będzie płacił podatki, jeśli c. k. podatnicy wymrą z głodu? Z akcyą socyalistów w tym kierunku powinno całe społeczeństwo pójść ręka w rękę, jest to sprawa nie cierpiąca zwłoki i najbardziej może żywotna ze wszystkich, jakie nam dolegają. Zrozumiała to ludność wiedeńska, biorąc tłumny udział w demonstracyi antidrożyźnianej, u nas, niestety, na coś podobnego się nie zanosi. Poszczególne partye i stowarzyszenia radzą, każde na własną rękę, do wspólnej pracy brakuje ochotników.

Rząd obiecuje wprawdzie, że postara się o ulżenie niedoli, dyskretnie zamilcza jednak, kiedy się to stanie i w jaki sposób, dotychczasowe zaś zarządzenia równają się zeru, skoro nawet tak lojalna „Gazeta Narodowa“ lekko je wyśmiewa. W artykule p. t. „Półśrodki“ krytykuje ona ostro pozwolenie rządu na sprowadzenie 25.000 kilogramów mięsa argentyńskiego do Wiednia, co wystarczy najwyżej na pokrycie dwudniowego zapotrzebowania dwumilionowej ludności i nie przyczyni się wcale do obniżenia cen. Niemoralnem jest także faworyzowanie Wiednia; inne miasta monarchii płacą przecież tak samo, jak stolica, podatki i ponoszą inne ciężary, i one więc miałyby ochotę spróbować owych zamorskich specyałów. Dla stolicy daje się opusty taryfowe, ulgi targowe, pozwala się na przywóz mięsa bodaj na pokaz, a cóż robi się dla Lwowa, Krakowa i innych miast, w których drożyzna stanowczo nie jest mniejszą? Nasi panowie posłowie zabierają głos, jeśli chodzi o Niemców, milczą jednak jak zaklęci, gdy omawia się sprawy, dotyczące własnego kraju. Bardzo trafnie określono działalnoćć przeciwdrożyźnianą rządu nazwiskiem „półśrodki“; jest to specyalność austryacka, w której nasza biurokracya zdobyła rekord światowy.

Trzeba jednak przyznać, że rząd ma zawsze dobre chęci, nie może się jednak zdobyć na ich wprowadzenie w czyn, jakże bowiem wyglądałaby sprawa, gdyby nie przeszła przez różne komisye i subkomisye, gdyby nie wyleżała się odpowiednio na biurkach. Skierowanie najważniejszej i najżywotniejszej sprawy na tę drogę jest jej utrąceniem; to samo czeka i sprawę argentyńskiego mięsa, którą już obsiadły złowrogo kraczące komisye. Jedna z nich pojechała do Londynu, aby zbadać tamtejsze składy argentyńskiego mięsa, ta jednak, jako autonomiczna, bo z łona Izby handlowej, nie jest jeszcze tak niebezpieczną. Daleko straszniejszą jest druga, złożona z różnych dostojników ministeryalnych, a dążąca wprost do Argentyny. Jeśli nie spotka jej w drodze jakie nieszczęście, np. wykolejenie, rozbicie okrętu, połknięcie przez wieloryba lub ludożerców, możemy się spodziewać, że najdłużej dziesięć lat poczekamy na wyczerpujące sprawozdanie z podróży, po którem poweźmie się stanowczą decyzyę, czy sprowadzać mięso, czy nie.

W sprawie cholery i obrad sejmu nie zaszła w ubiegłym tygodniu żadna zmiana. Cholera zbliża się do nas powoli, nie posiadając jednak paszportu, nie może przejść granicy, sejm radzi i radzi, jakoś jednak nie potrafi załatwić się z reformą wyborczą, o której ogólnie się mówi, że jest konieczną i musi się ją koniecznie uchwalić jeszcze w czasie bieżącej sesyi, ale całkiem wygodnie można się także bez niej i obejść. Ciężki to będzie poród, bo już wkrótce zbierają się delegacye, bezpośrednio zaś po nich rozpocznie się sesya parlamentu, której wróżą powodzenie, gdyż Czesi „mają się“ podobno ku Niemcom i kosztem galicyjskich kanałów postanowili nareszcie zawrzeć serdeczną przyjaźń, która trwać będzie aż do najbliższej kłótni.

Daleko ciekawszym miał być we Lwowie tydzień lotniczy, który z powodu narodowego święta kuczek i popsucia się aeroplanów odłożony został na później. Lepiej powiodło się z lotnictwem w Krakowie, bo tu niejaki pan Canetti okradł Cyganiewicza (a to szelma odważna!) i ulotnił się bez aeroplanu.

Także i czem innem może się poszczycić Kraków, a właściwie mające być kiedyś jego częścią Podgórze. Zapomniano już po części o Hofrichterze, który zamiast do sztabu generalnego, dostał się do kryminału, gdy oto jakiś obywatel, czy obywatelka postanowiła wejść w jego ślady. Bogu ducha winna jakaś Marya L. otrzymała pudełeczko ze znakomitemi pigułkami, pomagającemi na ból głowy, gdy zaś babską ciekawością wiedziona, zbadała wnętrze jednej z nich, przekonała się, że są tam łebki od zapałek siarkowych! Owym naśladowcą Hofrichtera miał być podobno jej rodzony mąż, który mając dość przyjemności pożycia małżeńskiego, zdezerterował od swej magnifiki.

X.

Jaskinia zbrodni na Jasnej Górze.

Niesłychana zbrodnia, spełniona na Jasnej Górze, w obrębie murów klasztoru Paulinów, poruszyła do głębi całe społeczeństwo. Od pierwszej chwili, gdy wiadomość o wykryciu sprawców zbrodni oraz o



Jaskinia zbrodni na Jasnej Górze: O. Izydor Starczewski, pozostający pod zarzutem wspólnictwa z ks. Macochem w przywłaszczaniu sobie funduszów klasztornych.

aresztowaniu ks. Damazego Macocha rozeszła się po Krakowie i kraju, zeszły na drugi plan wszystkie inne sprawy, nawet tak doniosłe, jak przewrót w Portugalii i zaprowadzenie tam republiki, a wszyscy omawiali tylko tę jedną, tak niestety bolesną i przykrą sprawę.

Tematu najbardziej sensacyjnego nie brak w tej historyi. Przedewszystkiem dzieje stosunku miłosnego, jaki łączył ks. Damazego Macocha z Heleną z Krzyżanowskich Macochową. Przy tej sposobności



Jaskinia zbrodni na Jasnej Górze: O. Justyn Weloński, nowo obrany przeor OO. Paulinów na Jasnej Górze.

dowiedziano się wielu szczegółów z ich dawniejszego życia.

Ks. Damazy Macoch był niegdyś pisarzem gminnym, ten rodzaj życia i pracy jednak sprzykrzył mu się, postanowił więc poszukać gdzieindziej przytułku i chleba, aż znalazł go w klasztorze jasnogórskim. Przyjęto go do nowicyatu, a choć umysł jego nie odznaczał się inteligencyą, przepchano go jakoś przez egzamina teologiczne i wyświęcono na księdza.

Helena z Krzyżanowskicu Macochowa pracowała jako panna w zakładach telefonicznych w Łodzi, gdzie należała do sił lepszych i po paroletniej służbie została naczelniczką oddziału. W tym czasie poznała się z ks. Macochem, który zapłonął ku niej namiętnem uczuciem i zaofiarował jej prócz miłości także hojne zaopatrzenie. Krzyżanowska zgodziła się na stosunek z niezbyt inteligentnym ale zasobnym w fundusze zakonnikiem i odtąd idylla ich trwała aż do tragicznego rozwiązania bez ważniejszych zajść.

Zupełnie spokojne jednak nie było to pożycie. Ks. Macoch krępował się bowiem trochę stosunkiem z Krzyżanowską i chciał ten stosunek jakoś „ulegalizować". Ku temu posłużyć miało zamążpójście



Jaskinia zbrodni na Jasnej Górze: O. Bazyli Olesiński, pozostający pod zarzutem wspólnictwa z ks. Macochem w przywłaszczaniu sobie funduszów klasztornych.

Heleny. Swatał ją tedy z bratem swym Franciszkiem. Ten atoli, poznawszy się na wartości moralnej narzeczonej, nie zgodził się na małżeństwo. Wówczas ks. Macoch wydał Helenę za mąż w krótkiej drodze za Damazego Macocha, tj. za siebie, pofałszował mianowicie metryki ślubu a następnie metrykę śmierci tegoż Damazego Macocha. W ten łatwy i krótki sposób stała się Helena Krzyżanowska „wdową". Wówczas też rzuciła zajmowaną w Łodzi posadę a przeniosła się do Warszawy i tam stale zamieszkała.

Urządzenie „gniazdka" było bardzo szykowne. Zajmowała trzy pokoje i kuchnię. Mogła sobie na



Jaskinia zbrodni na Jasnej Górze: O. Euzebiusz Rejman, generał i były przeor OO. Paulinów na Jasnej Górze.

to pozwolić, gdyż otrzymywała od ks. Macocha stałą pensyę w kwocie 200 rbs., nie licząc prezentów i przygodnych zasiłków w gotówce. Najpiękniejszym i najkosztowniejszym sprzętem w jej mieszkaniu był fortepian, kupiony za 2500 kor. Kochanka ks. Macocha bowiem była osobą dość muzykalną i grała bardzo dobrze na fortepianie i na skrzypcach. Miała dalej młoda „wdówka" piękną



Jaskinia zbrodni na Jasnej Górze: Ogólny widok klasztoru i kościoła na Jasnej Górze w Częstochowie.



Jaskinia zbrodni na Jasnej Górze: Helena Macochowa jako wiolinistka.

biblioteczkę a dobór książek i pewien smak w urządzeniu mieszkania dowodził, iż lokatorka jest inteligentna i ma dość dużą kulturę.

W ostatnich czasach począł ks. Macoch znowu myśleć o wydaniu swej kochanki za mąż, ale znowu za kogoś sobie bliskiego, aby w jego do niej stosunku nie musiała nastąpić zmiana. W tym celu wybrał swego stryjecznego brata Wacława i tym razem swaty się udały. Wacław Macoch zgodził się poślubić Helenę i małżeństwo zostało zawarte w czerwcu br. Nie ulega wątpliwości, iż mąż Heleny wiedział o roli, jaką ma odegrać i o stosunku między Heleną a ks. Macochem. Już to rzuca na jego charakter światło bardzo ujemne.

Zdaje się też, że wiedział on i o innych sprawkach swego brata i nawet brał w nich bezpośredni udział. Jakie jednak były istotne pobudki zamordowania Wacława w celi klasztornej, dotychczas śledztwo nie zdołało ustalić. Krążą na ten temat dwie wersye. Wedle jednej stało się to dlatego, iż Wacław usiłował wymusić na ks. Macochu większe kwoty pieniężne, należne mu ze wspólnictwa w ograbieniu cudownego obrazu, wedle drugiej motywy były wyłącznie erotycznej natury; Wacław nie chciał nadal tolerować stosunku swej żony z ks. Damazym. Aby uniknąć jednej czy drugiej ewentualności, ks. Macoch sprzątnął Wacława z tego świata.

I przez parę miesięcy zbrodnia się ukryła a morderca chodził swobodnie po świecie. Dopiero skierowane na właściwe tory śledztwo zmusiło go do ucieczki, bezskutecznej jednak, gdyż w Galicyi wpadł zaraz po przejściu pasa granicznego w ręce policyi.

Wykrycie całego łańcucha występków i zbrodni na Jasnej Górze musiało pociągnąć za sobą pewne konsekwencye dla klasztoru. Pierwszą z nich jest usunięcie OO. Paulinów od zarządu klasztorem a



Dzielni Sokoli śląscy: Trzej druhowie Sokoła w Zabrzu na Śląsku pruskim, wiozący na taczkach ziemię śląską na kopiec grunwaldzki w Niepołomicach, u granic Krakowa, powitani tam przez prezesa Sokoła krakowskiego, radcę Turskiego (X).



Fot. Russ, Drohobycz.

Polscy górnicy w Borysławiu: Uczestnicy wycieczki w kopalni nafty w Tustanowicach.



Jaskinia zbrodni na Jasnej Górze: Helena Macochowa (ostatnie zdjęcie, dokonane w Łodzi).



Złote gody: Władysław i Wanda z Janeckich Zapałowscy.

objęcie w nim rządów przez duchowieństwo świeckie. Celem przeprowadzenia tej zawiłej sprawy zjechał na miejsce ks. biskup Zdzitowiecki.

Ludność miejscowa, przywiązana bardzo głęboko i szczerze do świętego miejsca, zachowuje się dotąd spokojnie, choć oburzenie wśród niej z powodu okropnych wypadków jest bardzo duże.

* * *

Ze względu na ogromne zainteresowanie, jakie sprawa wykrycia zbrodni na Jasnej Górze wywołała w całem społeczeństwie, poświęciliśmy jej przeważną część niniejszego numeru. Z wielkim trudem i nakładem znacznych kosztów udało się nam uzyskać fotografie wszystkich bez wyjątku osób, wmieszanych bezpośrednio lub pośrednio w smutną tę aferę. Nadto poświęciliśmy tej sprawie rycinę tytułową, która przedstawia scenę z przesłuchania ks. Macocha w biurze ekspozytury policyi na dworcu przez komisarza dra Jasieńskiego, w obecności dyrektora policyi radcy rządu dra Flattaua i przeora Paulinów na Skałce w Krakowie, ks. Gliwy.

„Aquila alba“.

(Do illustracyi na str. 8).

W czasie niedawnego meetingu awiatycznego w Wiener-Neustadt przypatrywał się wzlotom aeroplanów i rozmaitego typu maszynom do latania cesarz Franciszek Józef, interesujący się — jak wiadomo — bardzo żywo postępem i rozwojem awiatyki.

Jak już w swoim czasie wspominaliśmy, cesarz zwrócił między innymi uwagę na aeroplan jednopłaszczyznowy braci Schindlerów z Krakowa, nazwany „Aquila alba“ czyli „Biały orzeł“.

Aeroplan ten, skonstruowany wedle planów inż. Schindlerów i pod ich osobistem kierownictwem zbudowany, posiada motor bardzo silny, odmienny od motorów in nych aeroplanów a skonstruowany przy współpracownictwie inż. Brzeskiego. Odmienna jest także śruba w tym aeroplanie, gdyż jest podwójna i rozmiary jej są większe niż zwykle.

Aeroplan „Aquila alba“ podobał się bardzo cesarzowi, który w dłuższej rozmowie wypytywał braci Schindlerów o szczegóły ich pracy.

Zdjęcie tego aeroplanu, w chwili gdy doń zbliża się cesarz ze swem otoczeniem, zamieszczamy w dzisiejszym numerze.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 40.

Szarada: Nieszczęście.

Logogryf: Wiwulski.

Logogryf: Nabuchodonozor.

Zadanie do przestawienia: Gdzie kucharek sześć, tam niema co jeść.

Łamigłówka:

Pas
Iwo
kto
kot
reu
sto
mat
Ewa
eis
hop
oni
wre
wąs
lun
moe
bez

Rebus: U panów życie to pasmo rozkoszy.

Dobre rozwiązania nadesłali PP., O. Górkowa Chyrów, M. Zbiknlska Sanok, F. Gebhardt Kraków, J. Łopatkiewicz Sambor, M. Płanecka Kraków, A Biliński Tarnopol, W. Ossowski Warszawa, J. Mutula Rzeszów, S. Krzyżanowski Podgórze, T. Rogoziński Warszawa, W. Ostrowski Sandomierz, J. Świrski Radom, W. Bandrowski Piotrów, J. Kwaśniewski Lublin, M. Nowakowska Lwów, W. Cichulski Kraków, S. Lipski Kraków, K. Balicki Czerniowce, J. Lindenbaum Kołomyja, H. Ohrenstein Stanisławów, H. Grünes Lwów. J. Krawecki Tarnobrzeg, J. Jahoda Cieszyn, W. Postrach Ostrawa, M. Piątek Podwołoczyska, B. Martynowicz Przemyśl, J. Chlebowicz Sanok, S. Zabierzewski Radomyśl, M. Łapińska Rzeszów, H. Nikiel Rozwadów, J. Urban Kraków, S. Leszczyński Kraków, Z. Torczyński Lwów, J. Żak Sambor, H. Gay Jarosław, M. Baar Sambor, W. Rodziewicz Zakopane, J. Cisowska Sandomierz, H. Regiec Piotrków, M. Andrzejowska Zakopane, H. Łopatyńska Stanisławów, T. Tokarski Rzeszów, J Korczyński Kraków, H. Malinowska Jasło, W Dobrowolski Tarnów, J. Wałęga Bochnia, J. Wasilewski Lwów, H. Sokalski Drohobycz, S. Burzyński Janów, J. Biechoński Proszowice, H. Wyka Jarosław, J. Zachara Kraków, W. Londzin Wiedeń, H Skrzywan Berezowica, J. Konopuski Stanisławów, M. Danek Drohobycz, J. Czarkowski Ostrów, K. Armatys Horodenka, W. Grabczewski Lwów, J. Lemiszewska Jasło, K. Moszyński Jordanów, J. Bessaga Sambor, H. Słowik Tarnopol, M Lisowska Jasło, J. Radzinski Kraków, T. Mazaraki Kraków, A. Trzeciak Kraków, S. Karczmarski Łobzów, A. Gralewski Kraków, A. Pankowski Kraków, J. Strojek Warszawa, R Knapik Bierzanów, J. Kopczyńska Sambor, T. Potocki Radom, H. Wiewiórska Jasło, J. Pick Łódź, M. Więckowska Piotrków, D. Hillenbrand Kraków, H. Diamand Rzeszów. J. Potok Tarnów, M. Płazińska Lwów, J. Taborski Rzeszów, H. Antou Trembowla, J. Barnat Kraków, M. Lewiecka Sanok, M. Podczaska Kraków, J. Bartoszewicz Kraków, J. Baziak Rzeszów, H Klimek Tarnów, M. Groszek Bochnia, J. Cegielska Przemyśl, J. Nowacki Podgórze, M Wojkowski Lwów, H. Mglej Stanisławów, K. Gliński Sadogóra, M. Wolf Rzeszów, J. Engelberg Tarnów, Ks S. Czerski Trzęsówka, J. Fingerer Stryj, N. N Rawa, B. Ramułtowa Jeżów, K Fuchs Czeremchów, K. Kaim Krakow, M. Serbeńska Budzanów, A. Bocsoń Bóbrka, J. Badura Rożdzień, W. Rapacz Jaworzno, R. Wittyg Kraków, M. Malinowska Oświęcim.

Nagrodę przez losowanie otrzymał **H. Sokalski, Drohobycz.** Upraszamy o nadesłanie 35 halerzy na koszta poleconej przesyłki.

Z półek księgarskich.

Królewskim szlakiem, napisał Walenty Zieliński. Warszawa 1911, Gebethner i Wolff. Kraków, G. Gebethner i Sp. Odbito w drukarni Ed. Nicz i Sp.

Zbiór poezyi podzielonych na ośm seryi, wydany nader ozdobnie i starannie. Wiele z nich okazuje cechy prawdziwego natchnienia i przynosi chlubę autorowi, który potrafił głęboką treść połączyć z wytworną formą.

Bibliotheca slavica III. Katalog 49. **Polen** Bücher, Autographen, Ansichten und Karten, Kunst und Flugblätter, Portraits, Nachtrag. *Jaques Rosenthal,* Hofantiquar S. M. des Kaisers und Königs. München (Bayern), Karlstrasse 10.

Wydawnictwo nader ważne dla historyków i wogóle osób pracujących na jakiemkolwiek polu naukowem, podające spis dzieł odnoszących do się całokształtu dziejów Polski. Między niemi bardzo wiele unikatów o wielkiej wartości bibliograficznej i artystycznej. Broszurkę zdobi kilka odbitek rycin, zawartych w wymienionych w spisie dziełach.

Cudowne leki. Obrazek wiejski w 1 akcie ze śpiewam i tańcami, napisał Bolesławicz. Muzyka Franciszka Barańskiego Nakładem Związku teatrów i chórów włościańskich. Lwów 1910 Cena tomiku wraz z muzyką 1 K. Autor **Intermedyów ucieszných**, które cieszą się nadzwyczajnem, a zasłużonem powodzeniem na scenach włościańskich i ludowych, napisał nową sztukę „Cudowne leki“. Utwór ten ukazał się przed kilkoma dniami, jako 9 tomik „Biblioteki teatrów włościańskich“. Treścią utworu są „cudowne“ leki, jakie zadaje Marcinowa, wiejska lekarka, Jankowi, aby zrzekł się miłości ku ukochanej Basi, na rzecz Kasperka. Zło jednakże nie długo pozostaje w ukryciu. Wkrótce wydaje się, że owe „cudowne“ leki to proste oszustwo, za co też lekarka dostaje zasłużoną narodę od Kasperka. Piękną muzykę do śpiewek ułożył p. Franciszek Barański. Książeczkę tę nabywać można w Związku teatrów i chórów włościańskich we Lwowie, ul. Ossolińskich l. 12 III. p., oraz we wszystkich księgarniach.

Józef Niepołomski (Andrzej Wirski). **W prochu ziemi.** Powieść. Kraków, 1911. G. Gebethuer i Spółka. Warszawa, Gebethner i Wolff, odbito w drukarni Narodowej, Kraków.

Autor „Nocy“ staje przed nami z nowym utworem, opartym na tle obecnych stosunków społecznych. Rzecz napisana barwnie i zajmująco, wydanie bardzo staranne.

Głosy publiczne.

Cyrk Edison. Atrakcyą programu od piątku dnia 14 do czwartku dnia 20 bm. będzie obraz p. t. „HONOR“ podług dramatu Sudermanna i scenizowany przez Maurier Remona, a grane przez pierwszorzędnych artystów opery królewskiej w Rzymie. Reszta programu składa się przeważnie z zdjęć o treści pouczającej i humorystycznej.



NA SEZON ZIMOWY!
Wielki wybór wszelkich gatunków FUTER
POLECA ZNANY MAGAZYN

M. A. AUGUSTYNA

we Lwowie, ul. Teatralna l. 7
vis á vis głównego wejścia Kościoła Katedralnego.
Cenniki na żądanie opłatnie.

Materyały wełniane i jedwabne Magazyn I. Sobolewskiego

oraz gotową konfekcyę damską poleca w Krakowie, ul. Grodzka l. 3.

Broń, naboje i przybory do polowania.



Wszelka broń starannie wypróbowana i opatrzona państwowym znakiem ostrzelania. Tylko najlepsza jakość i czysto odrobiona broń.

Nr. 100. **Rewolwer Lefaucheux** 7 mm. kalibru, 6 strzałowy, do naboi ze sztyfcikiem, gładko polerowany, politurowana oprawa z drzewa orzechowego. Cyngiel składany. Długość 17 cm.

Cena K 5·50. Takisam 9 mm. kalibru K 7·50.
Nr. 101 kaliber 7 mm. najpiękniej niklowany K 8·50.

Naboje rewolwerowe:

Nr. 507.	7 mm. kulkowe	25	szt.	K	—·80
Nr. 509.	9 mm. „	25	„	„	—·95
Nr. 508.	7 mm. śrutowe	25	„	„	1·—
Nr. 510.	9 mm. „	25	„	„	1·25
Nr. 511.	7 mm. kapslówki	25	szt.	„	—·70
Nr. 512.	9 mm. „	25	„	„	—·90

Największy wybór rewolwerów, terceroli, flobertów Tesching, strzelb myśliwskich, przyborów do polowania, nabojów i t. d. znajduje się w moim **katalogu głównym z przeszło 3000 wzorami**, który wysyła się każdemu **opłacony za darmo.**

C. i k. nadworny dostawca

HANNS KONRAD
Dom wysyłkowy w Brüx Nr. 3614 (Czechy).

TAPETY | MATERYE | DYWANY

od najtańszych do najwykwintniejszych na ściany i sufity | meblowe, wełniane, dywanowe, jedwabne na każdą cenę | do sypialń, jadalń, salonów we wszystkich stylach i kolorach

Cenniki i wzory wysyłam opłatnie

Poleca **W. ADAMSKI, WE LWOWIE.**

Cenniki i wzory wysyłam opłatnie

Są chwile w życiu ludzkiem,

w których rozglądamy się zrozpaczeni za pomocą i nie znajdujemy rady żadnej, zwłaszcza, gdy się jest silnie przeziębionym, a niema się czasu na leżenie w łóżku. Ale wtedy kupuje się poprostu pudełko Faya prawdziwych Sodeńskich pastylek mineralnych, zażywa je podług przepisu i odzyskuje się zdrowie bez przerwy w pracy w sposób najdogodniejszy. Faya prawdziwe Sodeńskie kupuje się za kor. 1·25 we wszystkich sklepach z tego działu, trzeba jednak odrzucać naśladownictwa. Jeneralny zast. na **Austro-Węgry: W. Th. Guntzert** c. i k. nadw. dostawca **Wiedeń, IV1/**, Grosse Neugasse 17.

ZAKŁAD KRAWIECKI
JÓZEFA NOWORYTY
w Krakowie, ulica Sławkowska L. 30.

Bezpłatnie

wysyłam każdemu swój wielki i bogato illustrowany główny katalog z przeszło 3000 wzorami **dokładnych, dobrych i tanich wyrobów muzycznych** wszelkiego rodzaju.



C. i k. nadw. dost.
Hanns Konrad
dom wysłk. wyrobów muzycznych **w Brüx Nr. 3590** (Czechy).

Skrzypce dla uczniów bez smyczka po K 4·80, 5·50, 6·—, 6·80. Smyczki po K 0·80, 1·—, 1·40, 1·80. Niema ryzyka! Dozwolona wymiana lub zwrot pieniędzy.

Najlepsze przybory do robót piłeczkowych.



Roboty piłeczkowe są bardzo pouczającem i pięknem zajęciem w wolnych chwilach dla młodzieży i starszych.

Nr. 9307 Narzędzia do robót piłeczkowych pierwszorzędnej jakości na silnym kartonie, siedm sztuk wraz z wzorem, kompletne K 3.
Nr. 9308 Te same, ale 10 sztuk pierwszorz. jakości narzędzi wraz z wzorami K 5·—
Nr. 9310 Pierwszorzędnej jakości garnitur do robót piłeczkowych w skrzynce sosnowej o dającem się odsuwać wieku i 9-ciu I-a narzędziach K 7·20.

Największy wybór narzędzi do robót piłeczkowych w moim głównym katalogu. **Bez ryzyka!** Wymiana dozwolona albo zwrot pieniędzy. Wysyłka za zaliczką przez:

C. i k. nadw. dostawca **Hanns Konrad** Dom wysyłk. **w Brüx Nr. 3602 (Czechy)**
Główny katalog z 3000 rycin. wysyła na żądanie darmo i opłatnie

---

Do Ameryki i Kanady



przeprawia najlepiej

Linia Kunard we Lwowie, ul. Gródecka **99.**

Cena przeprawy okrętem 180 Koron. — Uważajcie na Nr. 99.

Odjazd z portu **w Tryeście: Carpathia**: dnia 26 października. **Saxonia**: d. 8 listopada 1910, **Pannonia**: d. 15 listopada 1910.

Z Liwerpolu: Lusitania: (największy i najwspanialszy parowiec świata) dnia 5|11. 17|12 1910.
Maurytania: dnia 29|10, 19|11, 10|12 1910.

Atramenty Karmańskiego są najlepsze.

Każdy bez poprzedniej nauki

może grać na mojej

Cytrze gitarowej „Kolumbia“,



z nutami do podkładania Nr. 32. Wielkość 19×35 cm., 41 strun, 5 grup akordowych, kompletna z dwoma arkuszami nut do podkładania

K 11·—. Pojedyncze arkusze nut **po 15 h** za sztukę! Wymiana dozwolona albo zwrot pieniędzy. Wysyłka za pobran. poczt. lub za poprzedniem nadesłaniem należytości przez

c. i k. nadw. dostawcę **Hannsa Konrada**
Dom wysyłk. **w Brüx Nr, 3633** (Czechy).
Gł. katalog z 3000 rycin. wysyła na żądanie darmo i opłatnie.



Orchestry, elektr. pianina, gramofony

sprzedaje najlepsze i najtańsze firma

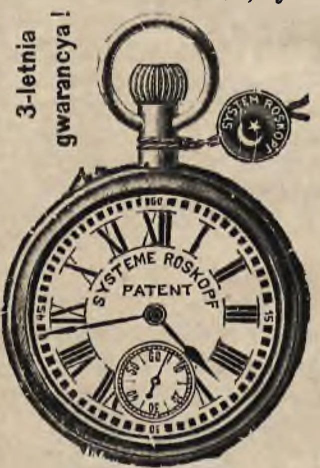
Diego Fuchs

fabryka instrumentów muzycznych i orchestry.
Praga, Václavské nam c. 5.

Cenniki darmo. — Zastępcy wszędzie poszukiwani. Odsprzedającym (Kupcom) wysoki rabat.

---

5 Koron kosztuje mój wspaniały szwajcarski Anker-Remontoir zegarek, syst. Roskopf Nr. 4060.



O doskonałym, silnym werku, zabezpieczonym pancerzem, z pięknym emaliowanym cyferblatem (nie z papieru), w eleganckiej niklowej oprawie, opatrzony plombą ochronną, idący 36 godzin (nie 12 godzin), posiadający ozdobne, złocone wskazówki, doskonale uregulowany, z 3-letnią pisemną gwarancyą za sztukę K 5·—

Nr. 4062 ze wskazówką sekundową „ 6·—
Nr. 4098 w prawdziwej srebrnej opr. bez wskaz. sekund. „ 11·—
3 sztuki „ 31·—
Nr. 4101 ze wskazówką sekundową „ 13·50
Nr. 4079 taki sam w stalowej oprawie „ 6·80

Wielki wybór różnego rodzaju zegarków w moim głównym katalogu!

Żadne ryzyko!

Zamiana dozwolona, albo zwracamy pieniądze.
Wysyłka za zaliczką, lub za poprzedniem nadesłaniem należytości.

PIERWSZA FABRYKA ZEGARKÓW
Hanns Konrad c. i k. nadw. dost. **w Brüx Nr. 3579 (Czechy).** — Bogato illustr. katalog z przeszło 3000 wzorami wysyła się każdemu darmo i opłatnie.

Pierwszorzędna piekarnia maszynowa

„SPORT“

BOL. BROSZKIEWICZA

w Krakowie, ul. Szlak L. 43
(DOM WŁASNY).

Piekarnia urządzoną została według **najnowszych wymagań hygieny,**
znana z dobroci pieczywa.

Nagrodzoną była na wystawach piekarskich **medalami, złotymi** i dyplomami w Wiedniu, Paryżu, Berlinie, Temeszwar i Warszawie.

FILIE: Sławkowska 3, Floryańska 3, Karmelicka 20, Szpitalna 21, Gertrudy vis a vis hotelu Royal (Misyonarze) Sebastyana 34, Św. Anny 4, Lubicz, hotel Europejski, Starowiślna 31, w Podgórzu Kalwaryjska 6.

Gol się sam najnowszym **amerykańskim** bezpiecznym aparatem do golenia „Perfekt“, bardzo wygodnym i bezpiecznym w używaniu, posiada bowiem wszelkie prawa pierwszeństwa.



Nr. 8736 w najlepszem posrebrzanem wykonaniu, z 12 cienkimi, twardymi jak szkło, podwójnymi ostrzami (24 noży) z najlepszej stali, w eleganckiem wewnątrz jedwabiem wyłożonem etui, kompletne z dokładnem objaśnieniem **K 9·50.** Dodatkowe noże z podwójnemi ostrzami za tuzin **K 3·50.**
Nr. 8736 1|2 takisam niklowy z 6 podwójnemi ostrzami stalowemi (12 noży) **K 6·50.**
Bez ryzyka! Wymiana dozwolona, albo zwrot pieniędzy. Wysyłka za zaliczką, albo za poprzedniem przesłaniem należytości.

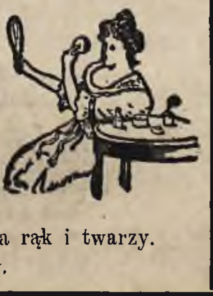
C. i k. nadw. dostawca **Hanns Konrad** Dom wysyłk. **w Brüx Nr. 3601 (Czechy)**
Katalog główny z przeszło 3000 rycinami wysyłamy na żądanie każdemu darmo i opłatnie.

Perfumy, mydła i pudry

krajowe, warszawskie, francuskie i angielskie.



PRZYBORY TOALETOWE.
MASZYNKI DO MASOWANIA.
Aparaty **„ZAZA“** do upiększania twarzy.
GĄBKI toaletowe.
Schampo-Tarool do mycia głowy i przeciw łupieżowi.
Wanny i miednice gumowe.
Mydła przetłuszczone Malinowskiego



Kremy do upiększania i wydelikatniania rąk i twarzy.
Środki do konserwowania i czyszczenia zębów.

REIM i Ska, KRAKÓW

Rynek 37, Linia A-B.

polecają najtaniej

Rogóżki kokosowe, szczotkowe i żelazne.
Wałeczki, kit i gips do uszczelniania drzwi i okien od zimna.

Latarki stajenne i ręczne.
Pasty i płyny do czyszczenia metali.



Oliwy maszynowe i automobilowe.
Kremy i pasty na obuwie.

KALOSZE: orygin. rosyjskie i amerykańskie.

Farby olejne do podłóg lakierowe szybko schnące **Farby**
Lakiery bursztynowe
oraz **spirytusowe do podłóg.**
Masa woskowa
i francuska do zapuszczania podłóg.

Bile z prawdziwej kości słoniowej i masówki
Kije, kręgielki, skórki i wszelkie
przybory bilardowe.
Szachy, sztony, domina i karty do gry.

Wyroby szczotkarskie.



Fryderyk Mauzens.

PARYSKIE GADY.

29

Obecnie jednak na ruch prasowaczki pani Lambert odpowiedziała:

— Proszę zostać przy prasowaniu... Tuzin koszul może odnieść i jedna!

Uwaga ta była słuszna. Przytem właścicielka chciała zadowolić w zupełności pana Duponta. Czuła, że ten nowy klijent będzie więcej ucieszony, gdy ujrzy samą Ludwikę, niż gdyby przyszła w towarzystwie innej. Julia wróciła na swoje miejsce, mrucząc coś pod nosem. Ludwika wzięła koszyk pod ramię.

— A proszę nie włóczyć się! — rzekła właścicielka do młodej panny.

Bojąc się jednak, by Ludwika źle sobie nie wytłómaczyła jej myśli i, by prędzej wróciła, nie opuściła pana Duponta z pośpiechem, szkodliwym dla interesów pralni, dodała:

— Klijent czeka, lecz po oddaniu bielizny proszę się nie spieszyć...

Ludwika już wychodziła.

— Proszę nie wracać zaraz — tłómaczyła dalej pani Lambert. — Panna Ludwika źle wygląda... niech odetchnie świeżem powietrzem...

Młoda panna zamknęła już za sobą drzwi. — W podwórzu starała się ją zatrzymać matka Ladroule:

— Dokąd biegnie... gul, gul, gul... tak prędko... gul, gul, gul... panna Ludwika?...

Stróżka przepijała teraz dwadzieścia franków, otrzymanych od Piotra.

— Odnoszę bieliznę — odpowiedziała Ludwika. I szybko wyszła na ulicę. Nie miała czasu do stracenia. A przytem nie była usposobiona do słuchania bełkotania pijanej stróżki. Rano uwiadomiła panią Lambert, iż musi się oddalić na pewien czas, a potem ubrana odświętnie udała się przed dworzec Courcelles. Nie było jeszcze dziesiątej godziny. Serce jej biło nierównie, to silnie i prędko, to znowu odzywało się słabemi uderzeniami, jakby już miało zamierać. Wzruszenie jej wzrastało w miarę jak posuwała się naprzód czarna wskazówka na zegarze na dworcu. Każdej chwili oczekiwała ukazania się Piotra. Na widok każdego samochodu, przejeżdżającego przez plac Pereire, doznawała jakby momentalnego omdlenia. Potem zegar wskazał dziesiątą godzinę. Upłynęła jeszcze minuta, potem druga, trzecia... Wskazówka, która dotychczas zdawała się nie poruszać wcale, obecnie zaczęła z jakąś dziwną szybkością biedz naprzód. Wzruszenie Ludwiki nie ustawało, lecz z przyjemnego zamieniało się w coraz boleśniejsze. Młoda panna straciła wreszcie świadomość otaczających ją rzeczy. Wszystko przedstawiało się jej, jak za mgłą i pytała się siebie, czy to nie jest przypadkiem tylko przykry sen. O jedenastej godzinie powróciła na ulicę Laugier, matba Ladroule zaś na zapytanie, czy się kto o nią nie pytał, odpowiedziała przecząco.

Biedna Ludwika wzięła się więc znów do pracy, lecz nie mogła już opanować tłoczących się jej w głowie myśli. Dlaczego Piotr nie przyszedł?... Co czynić? Czekać trzeba. Nie może przecież udać się sama do niego, lub też pisać znowu. Lecz dlaczego nie przyszedł?... Już po raz tysięczny zadała sobie to pytanie, idąc na avenue Ternes. I powtórzyła je jeszcze kilka razy, zanim przybyła do domu, w którym mieszkał pan Dupont. Na schodach pierwszego piętra zatrzymała się, nie dlatego, by odpocząć, lecz aby schwycić się obiema rękami za głowę.

— Och! — szepnęła. — Jak mi bije puls w skroniach... Nie mogę dać sobie rady ze swemi myślami...

Wreszcie weszła na trzecie piętro i zadzwoniła do drzwi. Maksym Duret na odgłos dzwonka elektrycznego spojrzał na zegarek.

— Za pięć minut pół do czwartej — szepnął.— To Łucya.

Według planu filantropa, przejrzanego i poprawionego przez Panajona, winna była tam przyjść i pani de Lagunan. Złodziej uznał, iż nie będzie się można obyć bez niej. Trzech osób nie będzie za wiele na zachloformowanie i zapakowanie do kosza Ludwiki Dubois według wszelkich prawideł sztuki. W gruncie rzeczy Panajon bez niczyjej pomocy mógł dokonać tej operacyi, którą uważał za dziecinną. Chciał jednak, by baronowa skompromitowała się zupełnie i dlatego domagał się, by i ona przyłożyła rękę do tego dzieła.

Maksym Duret wstał i poszedł otworzyć, lecz zdziwił się bardzo, widząc przed sobą Ludwikę.

— Przyniosłam koszule, proszę pana...

— Bardzo dobrze... Proszę wejść.

Młoda panna weszła.

Maksym Duret zamknął drzwi od mieszkania. Był zmieszany.

— Pośpieszyła się! — powtarzała sobie. — Pośpieszyła się!... A tamtych jeszcze niema!... Co robić? Pod jakim pretekstem zatrzymać ją aż do ich przyjścia?...

Tymczasem Ludwika postawiła koszyk i wyjmowała z niego koszule. Szukała oczami miejsca, w którem by mogła je złożyć. W przedpokoju jednak nie było ani jednego krzesła. Maksym Duret dzięki swej zwykłej stanowczości i śmiałości już się zdecydował.

„Nie można dopuścić, by wyszła stąd w inny sposób, niż myśmy to uplanowali... Trzebaby było jutro wszystko na nowo zaczynać, a jeden dzień zwłoki może nas zgubić... Postaram się sam z nią załatwić... Panajon wytłómaczył mi, jak się do tego wziąć... Nie sądzę, by koniecznie potrzeba było do tego trzech osób, jak to utrzymywał... Nie mam co prawda wprawnej do tego ręki specyalisty. Nie mając nikogo do pomocy, operacyi tej nie przeprowadzę się tak zgrabnie i prędko, jakby tego można było żądać... Lecz co robić...“

I prezes rzekł do Ludwiki:

— Proszę wejść do salonu.

Młoda panna uczyniła to. Maksym Duret poszedł za nią i zamknął drzwi. Potem podszedł do okna i również je zamknął.

— Mam jeszcze kołnierzyki i mankiety do prania — rzekł. — Proszę poczekać.

I wyszedł. Młoda prasowaczka trzymała jeszcze w ręku koszule. Teraz złożyła je na krześle. Nie myślała wcale o tem, co czyni, ani o klijencie, u którego jest. Głowa bolała ją jeszcze więcej, niż poprzednio. Czuła, jakby ją kto ściskał żelazną obręczą. Wzrok jej się ćmił. Nagle zachwiała się i zrobiła ruch ręką, by się za cośkolwiek przytrzymać. Ręce jej jednak już nie zacisnęły się i Ludwika upadła na podłogę.

Drzwi od salonu otworzyły się teraz i ukazał się w nich pan Dupont.

— Co ci jest, drogie dziecko?

Słowa te usłyszała jeszcze młoda panna. Potem ujrzała, jak klijent otwiera okno, by wpuścić świeżego powietrza, zbliża się i przyklęka przy niej. Jego twarz z zarostem, której okulary nadawały jeszcze poważniejszy wyraz, nachyliła się nad jej twarzą.

— Ależ tyś zemdlała!... Powąchaj to!...

I pan Dupont podsunął jej pod nos flakon.

Powąchała to i zaraz poczuła się lepiej... Siły jej nie powracały, ale natomiast nic jej nie dolegało...

— Oddychaj tem!...

Wciągała to w siebie i stawało jej się coraz przyjemniej. W kilka chwil potem już spała. Maksym Duret cały blady wstał od niej.

— Ależ to się udało zupełnie — szepnął. — Nie rozumiem, poco Panajon robił takie historye.

Nachylił się, wziął na ręce młodą pannę i podniósł ją. Była bez czucia. Ciało jej zwiesząło mu się bezwładnie z rąk. Nędznik przeszedł z tym ciężarem do sypialnego pokoju. Po środku znajdował się w nim ogromny kufer. Kupił go Panajon. Wybrał największy ze wszystkich, jakie widział. Wieko było podniesione. Maksym Duret złożył teraz bez trudu młodą pannę w kufrze i zamknął go. Biedna ofiara stała się jego niewolnicą.

— Nigdy nie przypuszczałem, że tak łatwo można kogo porwać! — szepnął do siebie. — Przed pięciu minutami ta mała była jeszcze na ulicy ze swym koszykiem pod pachą... A teraz leży bez czucia w kufrze, który mogę przewieść z jednego końca Paryża w drugi... Doskonale się ze wszystkiem załatwiłem! Jakie szczęście, żem nie zwlekał z napaleniem w piecu i że miałem już chloroform.

To ostatnie szczęście nie było jednak tak pomyślnem, jak się to wydawało nędznikowi. Panajon, namawiając go do kupienia tego narkotyku, miał w tem swój cel. Zapas złodzieja nie był jeszcze wyczerpany. Starczyłoby go na uśpienie wszystkich pasażerów z sleeping-car. Skłaniając Maksyma Dureta do pójścia do apteki, zdobywał sobie w ten sposób w aptekarzu świadka przeciw filantropowi.

Nędznik zamykał zamki w kufrze.

— Chciałbym jednak, żeby to bydlę już tu było! — mówił do siebie. — Oby się to jak najprędzej skończyło!

Wyszedł do salonu i wychylił się przez okno. Samochodu złodzieja nigdzie nie było widać.

— Do licha! Nie przyjdzie wcześniej jak za pół godziny! Gdzie on teraz jest? Zapewne u siebie... A gdybym zatelefonował? Tak, on ma telefon na Boissy-d'Anglas, ale ja go nie mam na avenue Ternes! Bah! Wyjdę i zajdę do jakiej kawiarni!

Cofnął się od okna, włożył na siebie szybko palto i kapelusz i wyszedł z mieszkania.

XX.

O trzeciej godzinie, to jest przedtem, zanim Ludwika weszła do mniemanego Duponta, Panajon siedział w jednym z salonów klubu „Neurasteników“ razem z Raulem de Lagunanem, Garrigue'm i innymi klubowcami. Joe Smith, który przybył przed chwilą, rozdawał na prawo i lewo „shakehand“.

— Hallo! baron! — zawołał Jankes, ściskając rękę Raula de Lagunan. — Co za dyabeł panu tu wyskoczył.

I wskazał swym długim i chudym palcem na głowę klubowca. Koło prawej skroni pod jasnemi włosami starannie wypomadowanemi i artystycznie ułożonemi, widniał guz.

— *Well!* drogi przyjacielu — odpowiedział mniemany Karol Turner. — Pan nie wie jeszcze tego? Jest to guz literacki! Wyskoczył on nagle baronowi wczoraj wieczorem, gdy pisał jakiś list...

Obecni roześmieli się. Baron zaprotestował, lecz nie gniewając się, gdyż wszystko przebaczał temu miłemu Turnerowi.

— Tak, to prawda — rzekł — myślę nawet nieraz, czy przypadkiem nie przyoblekę się w skórę literata.

— Co pan będzie pisał? — zapytał ktoś. — Sztuki teatralne? A może romanse psychologiczne?

— Sam nie wiem jeszcze... Lecz co do guza, to zdobyłem go pod samochodem...

— Jakto? Pod samochodem? — zapytał Joe Smith.

— Jakiś ogromny Cartelegue przewrócił mnie na bulwarze Bineau...

— *Well*! można powinszować! Tanim kosztem wykręcił się pan z takiego wypadku.

Młody Garrigue, który był dowcipnym i lubiał się pośmiać, starał się skierować znowu rozmowę na powołanie literackie Raula de Lagunana.

— Zawsze byłem tego zdania, iż nasz baron zostanie jeszcze modnym autorem...

— Naprawdę? — zapytał baron.

— Naturalnie! dosyć posłuchać, jak pan mówi, by przekonać się, że pan się bardzo pięknie wyraża.

— Mój Boże! pięknie, tego nie wiem... — odrzekł skromnie Raul de Lagunan — ale dość swobodnie i łatwo.

— Nie można polegać na łatwości. Profesor mój ciągle mi to powtarzał!

— Tak — potwierdził Panajon. — Najdłuższe okresy stylowe nie zawsze są najlepsze. Nie znam, baronie, listu, przy którego pisaniu odkrył pan swe zdolności, lecz wątpię, by osoba, która go otrzymała, była tak zadowolona, jak ja, gdy dzisiaj rano w rękach mych znalazł się ten króciutki liścik.

I Panajon z tryumfującą miną wyjął z kieszeni list i podał go Raulowi de Lagunan.

Baron wziął go do ręki, rzucił na niego okiem i zaraz się zmieszał. Był to list, w ktorym Ludwika naznaczała spotkanie Piotrowi. Ponieważ miał go Australczyk, nikt nie mógł przypuszczać, by był on adresowany do kogo innego.

— Przegrana! Przegrałem! — rozmyślał Raul de Lagunan. — Dopóki ta mała boczyła się na Turnera, mogłem mieć nadzieję zdobycia jej... Teraz nie pozostaje nic innego, jak oddać przegranę... bez robienia zawiedzionej miny... i prędko! Ach! żeby dyabli wzięli podobne głupie zakłady i dobre śniadania, po jakiem się założyłem!

Tymczasem złodziej, ciesząc się z zakłopotanej miny barona, drapał się w komiczny sposób po nosie.

— Co to jest? — zapytało naraz kilka osób.

— Ach, panowie — odpowiedział Karol Turner — jest to wspaniały pasztet! Czekałem ze zrobieniem tej miłej niespodzianki baronowi na przyjście pana Smitha. Był on świadkiem naszego zakładu.

— A więc ten list odnosi się do zakładu? — zapytał zainteresowany Garrigue.

— Tak, drogi przyjacielu! — odpowiedział poufale złodziej bogatemu spadkobiercy fabrykanta pigułek. — Proszę baronie przeczytać głośno!

Raul de Lagunan starał się uśmiechnąć swobodnie, lecz zrobił tylko grymas. Potem przeczytał. Rozległ się pochlebny szmer pod adresem Karola Turnera, a jednocześnie ściskano go zewsząd za ręce i klepano go po przyjacielsku po plecach.

— Dziękuję, dziękuję... Moja fantastyczna przyjaciółka już nie jest tak nieprzystępną... Po raz ostatni dzisiaj rano przebrała się za robotnicę... Kaprys swój już zaspokoiła i nie sądzę, by prędko chciała powrócić do swego zawodu praczki...

— *Well*! — rzekł Joe Smith. — Zamawiam sobie miejsce w tym samochodzie przy pierwszym pańskim wyjeździe!

— I ja również! — dodał Garrigue.

— I ja także! — powtarzali inni klubowcy.

— Proszę panów! — odpowiadał Panajon. — Będzie dość miejsca dla wszystkich! Znam barona. Z pewnością przesadzi i przyśle mi samochód rozmiarami i urządzeniem podobny do wagonu Ekspresu syberyjskiego.

Raul de Lagunan, chcąc zaakcentować swój uśmiech, zaakcentował tylko grymas. Oddał w milczeniu list Panajonowi, który go schował do portfelu.

Joe Smith rozmyślał:

„Czy to istotnie Ludwika Dubois pisała ten list? To niemożebne! Sprawdziliśmy wczoraj, że nigdy nie spotykała się z tym człowiekiem na schadzkach przy ulicy Godot-de-Manroi. Nie zna więc go z pewnością! A jednak... a jednak... jeżeli ona tym razem naprawdę naznaczyła mu spotkanie przed dworcem Courcelles...“

Sekretarz Lewisa Jacksona rzucił po cichu kilka przekleństw amerykańskich, a potem szepnął do siebie:

— Muszę zdobyć ten list!

Garrigue nagle przerwał mu rozmyślanie, zapytując znienacka:

— A pańskie muchy, panie Smith? Kiedyż one przybędą?

— Tak, tak! Muchy? — pytali zaraz inni członkowie klubu.

— Telegrafowano mi, że są już w klatkach i znajdują się na okręcie... Mają z niemi wiele kłopotów, by je dowieść w całości... Na razie jednak czy nie moglibyśmy zagrać w inną grę, również przyjemną?

— W jaką grę? — zapytał Panajon.

— Zaraz pan zobaczy... Nie jest ona wcale skomplikowana... Chce pan zaryzykować jedną partyę?...

— Chętnie.

— *All right!*

Jankes siadł przy jednym ze stołów gry, które o tej porze były niezajęte. Fałszywy Australczyk siadł naprzeciw niego. Klubowcy zgrupowali się dokoła nich. Raul de Lagunan starał się również okazać zainteresowanie, myśli jednak jego były daleko poza klubem. Baron oglądał w myślach wszystkie samochody, jakie widział na wystawach lub też w katalogach, lecz cena najskromniejszego jeszcze była za wielka, jak na obecne finanse sportsmena.

— *Well!* panie Turner — zaczął Joe Smith.— Zagramy zwykłą partyę w ecarte, lecz stawką naszą będzie wszystko, co mamy w kieszeniach... Wszystko!... Ale żaden z nas nie będzie wiedział, co ma drugi przy sobie!...

(Ciąg dalszy nastąpi).

Zagadki do nagrody.

Łamigłówka.

Ułożył K. Kaim, Kraków.

Litery, wstawione w miejsce kresek, czytane z góry na dół, podadzą nam smutne zdarzenie, zajmujące obecnie uwagę całego świata.

— ez
— ór
— ok
ok —
są —
— oc
— wo
— ra
do —
kr —
— an
iw —
pa —
— il
— wa
— od
bu —
m — l
— az
be —
ul —

Szarada.

Ułożył J. K. Januszewski, Podgórze.

Pierwszego wstecz wraz z trzeciem krawiec potrzebuje,
Drugie zaś w abecadle zawsze się znajduje,
W czwartej i piątej mamy litewskiego zwierza,
Całość zaś termometrem zwykle się odmierza.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył D. K. Tatara, San Genesio.

Z podanych liter ułożyć znane przysłowie: Większy, cieni, oś, o, sito, szewc, tło.

Szarada.

Ułożył M. Cz... Podłęże.

Pierwsze zaimek w języku Göthego.
A ile możesz nnikaj drugiego
Wspak go zaś wymów, nie zaprzeczysz wtedy,
Że całość chroni od smutku i biedy.

Logogryf.

Ułożyła K. T., Tarnopol.

Kwadraty i kreski, zastąpione odpowiednio literami, utworzą szereg wyrazów o podanem niżej znaczeniu. Początkowe ich litery, czytane z góry na dół, dadzą imię i nazwisko znakomitego polskiego kompozytora.
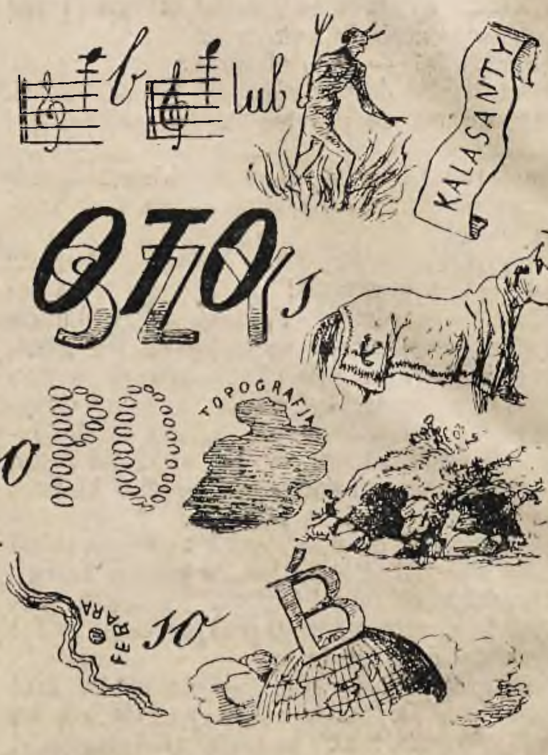
□ — — — — — — — —
□ — — — — — — — —
□ — — — — — — — —
□ — — — — — — — —
□ — — — — — — — —
□ — — — — — — — —
□ — — — — — — — —
□ — — — — — — — —
□ — — — — — — — —
□ — — — — — — — —
□ — — — — — — — —
□ — — — — — — — —
□ — — — — — — — —
□ — — — — — — — —
□ — — — — — — — —
□ — — — — — — — —

Znaczenie wyrazów: 1. Pieniądz złoty rosyjski. 2. Imię żeńskie. 3. Rasa, zamieszkała w Afryce. 4. Zwierzę parzystokopytne, znane w Azyi i Afryce. 5. Wir między Sycylią a Włochami. 6. Miasto portowe w Wirginii. 7. Pasmo górskie między Francyą a Hiszpanią. 8. Nauka o głosie. 9. Miasto w Westfalii. 10. Znakomity grecki tragik. 11. Inaczej odrodzenie. 12. Imię żeńskie. 13. Ssak morski. 14. Znany kompozytor (Wiedeńczyk). 15. Polski bajkopisarz. 16. Forma gramatyczna.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył D. K. Tatara, San Genesio.

Z podanych liter ułożyć znane przysłowie: Bez, drogie, i, mącą, rząd, sit, Tekla, wraz.

REBUS.



Zadanie do przestawienia.

Ułożył D. K. Tatara, San Genesio.

Z podanych liter ułożyć znane przysłowie: el, gbur, lew, sto, wada.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania: *Jana Świerka:* **Zaczęta i nieskończona nić.**

Właściciel, wydawca i redaktor odpowiedzialny: Stanisław Lipiński. Klisze z własnego zakładu Drukiem D. E. Friedleina w Krakowie